NR 34 (1958) 25 SIERPNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

45 LAT

Ala ma edukację seksualną

Proj. Wojciech Korkuć

TYSOL.PL

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

- SKRAWEK WOLNEJ POLSKI – 46. ROCZNICA STRAJKU W STOCZNI GDAŃSKIEJ
- PAKT DWÓCH WĄSATYCH DIABŁÓW

eprasa.pl 69d0a872dc

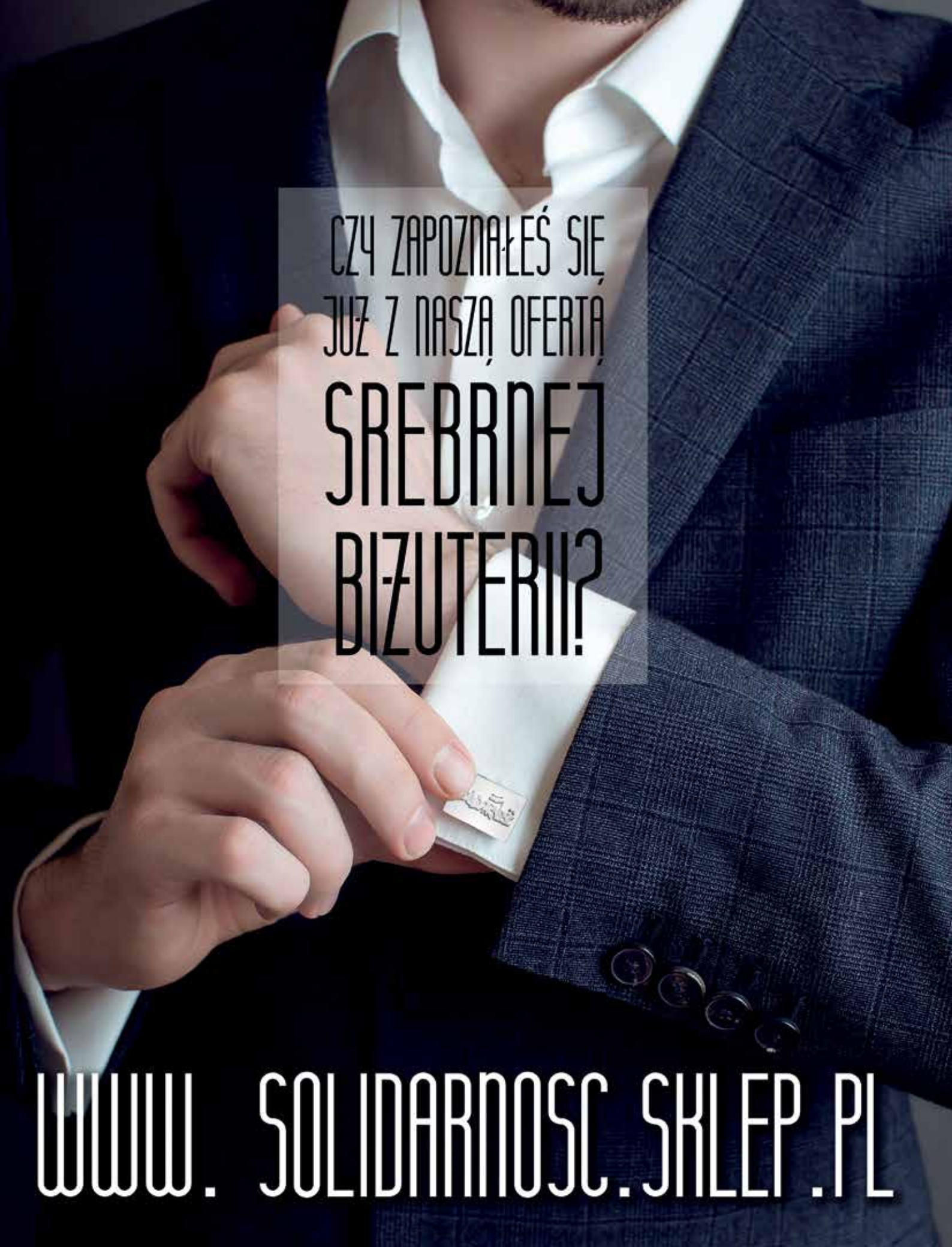
CZY ZAPOZNAŁEŚ SIĘ
JUŻ Z NASZĄ OFERTĄ
SREBRNEJ
BIŻUTERII?
WWW. SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

Jesteśmy przed 46. rocznicą podpisania Porozumień Sierpniowych. Z tej okazji zadałem sobie pytanie: czy młode pokolenie wychowywane przez dzisiejszą szkołę byłoby gotowe zrobić coś dla wspólnoty, gdyby przyszło jej bronić? Czy przystąpiłoby do strajku? Czy zaangażowałoby się w walkę, która z góry wydawałaby się pozbawiona szans na powodzenie?

Trochę to „boomerskie", ale dla pokolenia wychowanego w kulcie Solidarności jednak ważne pytania.

Sam wchodziłem w świat edukacji u progu III RP i mam głębokie przekonanie, że zawsze było w oświacie źle, ale teraz jest najgorzej.

Trudno uniknąć porównania poziomu zideologizowania dzisiejszej szkoły z tą sprzed 40, 50 czy 60 lat. A przecież to młodzież wychowana właśnie w tamtej szkole, choć często także wbrew jej zasadom, stworzyła najbardziej imponującą strukturę podziemną w powojennej Europie. Zbudowała cały system obywatelskiego oporu oparty nie tylko na patriotyzmie, ale także na braterstwie i solidarności, który ostatecznie doprowadził do pokonania komunistycznego systemu.

W 1980 roku polscy robotnicy nie mieli komfortu życia w wolnym, demokratycznym państwie. Mieli za to coś niezwykle istotnego: poczucie, że istnieją sprawy ważniejsze od osobistej wygody.

Strajki z sierpnia 1980 roku, a później powstanie Solidarności, były dowodem społecznej mobilizacji i odwagi cywilnej. Ludzie ryzykowali pracę, bezpieczeństwo, a niekiedy własną wolność, ponieważ uznali, że warto upomnieć się o godność, prawa pracownicze i podmiotowość społeczeństwa.

Skąd czerpali wzorce? Przecież nie z peerelowskiej szkoły. Raczej – za pośrednictwem rodziców – z ideałów szkoły II RP, która właśnie takie postawy próbowała kształtować. To one przekładały się na poczucie odpowiedzialności za Ojczyznę, zdolność do organizowania się i gotowość do poświęcenia, gdy wybuchła II wojna światowa.

Kolejne pokolenia Polaków nosiły w sobie ten gen wolności. Czerpały z wcześniejszych doświadczeń, nawet jeśli nie zawsze bezpośrednio i nawet jeśli nie potrafiłyby wskazać ich źródła.

Z czego czerpać ma dzisiejsza młodzież? Czy będzie potrafiła sięgnąć po doświadczenie swoich dziadków, skoro w III RP edukacja należała do najsłabiej funkcjonujących, najbardziej zaniedbanych i najbardziej upolitycznionych obszarów państwa?

Jeśli chcemy, żeby przyszłe pokolenia w chwili próby potrafiły „zachować się, jak trzeba", musimy je tego nauczyć. I pamiętać, że do najważniejszego egzaminu mogą przystąpić już poza murami szkoły.

Bo przecież Barbara Nowacka miała przed sobą wielu równie fatalnych poprzedników. Edukacja przez lata była poligonem doświadczalnym dla kolejnych ekip rządzących. Ofiarami zawsze były dzieci.

Jak jest dziś? Jeśli młody człowiek słyszy przede wszystkim, że wolność oznacza możliwość realizowania własnych pragnień bez oglądania się na innych, a szacunek do drugiego człowieka sprowadza się głównie do akceptowania różnic w sferze seksualnych preferencji, trudno oczekiwać, że w ten sposób wykształci się prawdziwie obywatelska postawa.

Uczeń nie usłyszy dziś, że wolność oznacza odpowiedzialność, że prawa wiążą się z obowiązkami, że wspólnota potrzebuje ludzi zdolnych do współpracy, poświęcenia i działania także wtedy, gdy nie przynosi to osobistych korzyści. A dopiero z takich wartości może powstać dojrzałe obywatelstwo.

Dlatego spór o szkołę nie powinien sprowadzać się dziś wyłącznie do pytania, jakie treści znajdą się w podstawie programowej. Ważniejsze jest pytanie, jakiego człowieka szkoła chce wychować.

Jeśli chcemy, żeby przyszłe pokolenia w chwili próby potrafiły „zachować się, jak trzeba", musimy je tego nauczyć. I pamiętać, że do najważniejszego egzaminu mogą przystąpić już poza murami szkoły.

eprasa.pl 69d0a872dc

25.08.2026
WYDANIE Nr
34

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Witaj, szkoło

8	Witaj, stresie
12	Szkoła pozornego komfortu
16	Edukacja zdrowotna, czyli inżynieria społeczna
19	Edukacja dla wybranych
22	Dostajemy lekcję

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Ofiary Kacmajora 26

KRAJ

Tusk ciągle musi 30

Prawica na smyczy przeciwników 34

ZAGRANICA

Symulowana rewolucja godnościowa AfD. Rozmowa z O. Doleśniak-Harczuk 40

Ameryka staje się bezpieczniejsza 44

KULTURA

Celuję w wolne i dobre duchy. Rozmowa z szegetzem 48

Cud w Warszawie. Recenzja filmu „Odzyskany” 52

HISTORIA

Pakt dwóch wąsatych diabłów 56

Skrawek wolnej Polski 60

RELIGIA

Pytania o Medziugorie 64

ZWIĄZEK

Co w związku 68

Święto historycznej Sali BHP. Tu rodziła się Solidarność 70

FELIETONY:

OKRASKA 7

GAC 33

PŁUŻAŃSKI 63

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 25

KARUZELA Z BLOGERAMI 37

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO 38

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 47

PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327, 80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 69d0a872dc

Jak możesz włączyć się
W AKCJĘ REFERENDALNĄ
dotyczącą Zielonego Ładu?

Wytnij kartę z wnioskiem
(na odwrocie)

Możesz pobrać ją także, skanując kod QR (poniżej)

Podpisz się

Zbierz podpisy wśród bliskich i znajomych

Wyślij kartę z podpisami na adres:

Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

NSZZ Solidarność

Fundacja Promocji Solidarności

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
١	٢	٣	٤	٥

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl 69d0a872dc

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Liberalne bajki o biedzie i pomocy

Ubóstwo to jedno z najbardziej obwarowanych stereotypami zjawisk społecznych/ekonomicznych.

Wie się o jego skutkach, ale jednocześnie wini jednostki za przyczyny. Te przyczyny są jednak bardzo często inne niż tylko indywidualne wybory.

Stereotypy o beneficjentach pomocy społecznej – ale i o pracownikach systemu – też trzymają się niestety mocno. Krzywdzące, niesprawiedliwe, zupełnie fałszywe, oparte na niewiedzy – ale także naiwne, „zbawiające świat", głupawe sformułowania oparte na poczuciu, że każdy człowiek potrzebujący i pomagający jest krystalicznie dobry.

Wypowiadający się o biedzie zazwyczaj ani o niej, ani o pomocy społecznej i pracy socjalnej nie wiedzą niemal nic. Panuje także przekonanie, że „dobre serca" spoza systemu pomagają lepiej, gdyż są z tym systemem niezblatowane. Tymczasem, żeby pomagać naprawę skutecznie i mieć pod ręką cały arsenał systemu, trzeba do tego systemu wejść.

Plakat o treści „Nie pozwól dzieciom kraść! Naucz je pracować, aby miały lepszą przyszłość" wisi przy kasie w jednym z cieszyńskich dyskontów.

Jest to tak złe na tylu poziomach, że nawet nie wiem, od czego zacząć.

To może zacznę od tego, że z hardkorową biedą i dziećmi z tzw. trudnych środowisk stykam się na co dzień i mam sporą, realną wiedzę o tym, jak wygląda takie życie. Nie jestem wolontariuszką, nie jestem „dobrą panią" z NGO z doskoku – pracuję w publicznej, pełnej procedur, wąsatej pomocy społecznej, która według państwa w zależności od sytuacji albo za mało robi, albo za bardzo wchrzania się ludziom w życie. Z osobami z tzw. środowisk defaworyzowanych spędzam wiele godzin dzień w dzień.

I nie godzę się na takie plakaty, które stygmatyzują borykające się z trudnościami rodziny/dzieci, a jednocześnie zdejmują z państwa jego psie obowiązki.

Czy dzieci kradną? Pewnie, choć bardziej młodzież niż prezentowane na plakacie pięciolatki.

Czy to jest masowe w (haha) dwudziestej gospodarce świata? Z całą pewnością nie jest.

Dlaczego kradną? Z głodu, z chęci pozyskania czegoś bez pieniędzy (których nie mają, bo nikt im nie daje), z powodu złych wzorców rzecz jasna też.

Jednak takie plakaty i takie hasła niosą neoliberalną opowieść, która została nam w Polsce wręcz przyspawana do kręgosłupa. Zgodnie z tą opowieścią istnieje wyłącznie jednostka i jej samodzielna odpowiedzialność za siebie i dzieci. Nikomu nic się nie należy. Nie istnieje żaden system, który defaworyzuje, daje i odbiera, który jedną decyzją spycha ludzi na koniec układu pokarmowego w kapitalizmie.

To ogromnie szkodliwe myślenie, według którego właściwie nic nie można zmienić inaczej niż samodzielnie, a przypływ powinien podnosić wszystkie łodzie, tylko nie te, których jakoś nie podniósł, i o których się potem nie mówi.

Naprawdę rozumiem, że wkurza, jak dziecko ukradnie batona.

Naprawdę nie uważam, że trzeba strzelać z tak grubej rury, i to jeszcze w tak źle wymierzonym kierunku, kolportując bardzo szkodliwe przekonanie, że bieda jest decyzją/wyborem.

eprasa.pl 69d0a872dc

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

Witaj, STRESIE

Szkoła staje się poligonem ideologicznym i **przedłużeniem wojenek politycznych** w Sejmie. Pośród tych burz i naporów musi pracować coraz bardziej osamotniony nauczyciel, od którego wymaga się coraz więcej. Pieniędzy i prestiżu mu nie przybywa, za to problemów i obowiązków – tak.

Jakub Pacan

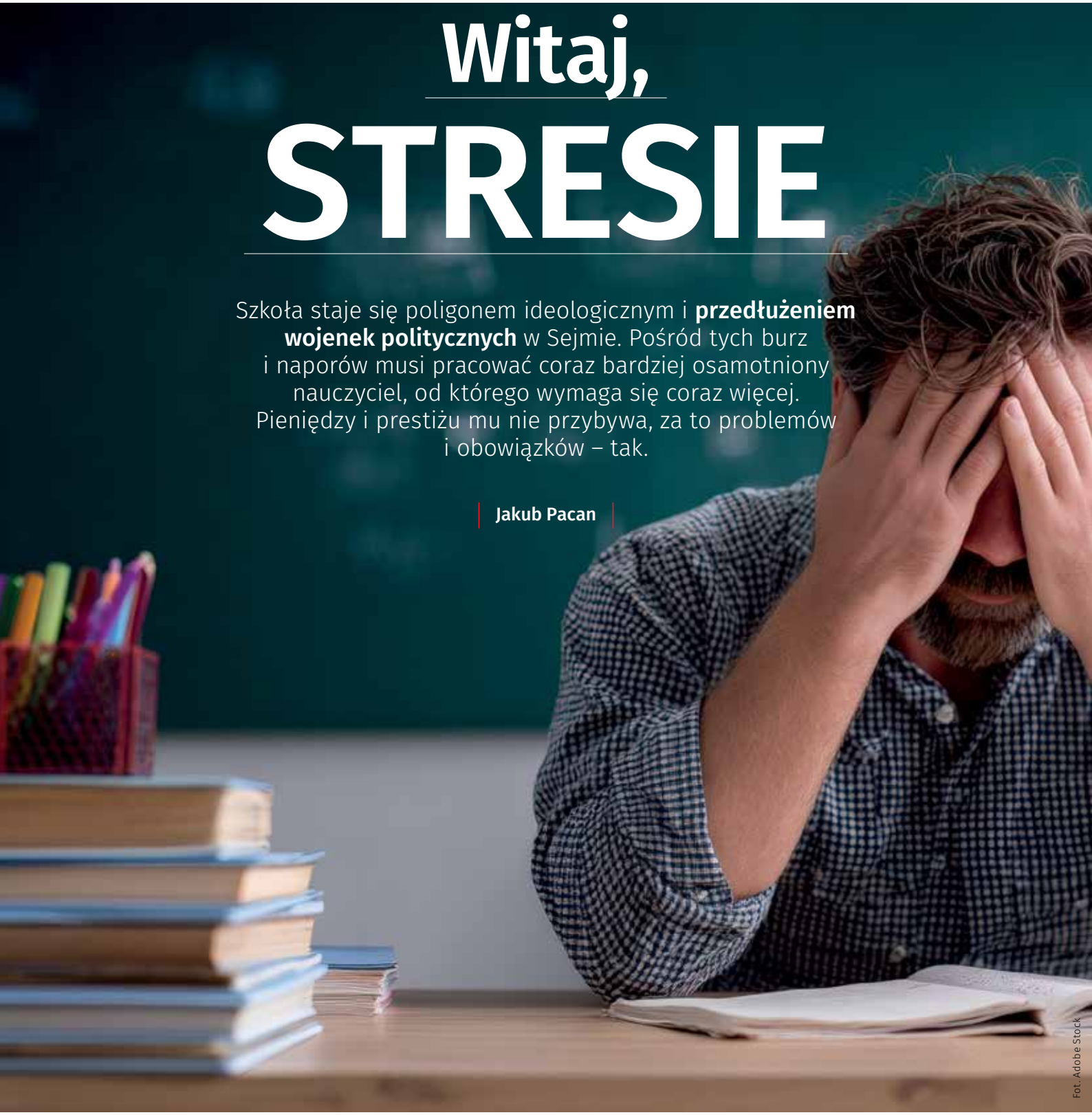

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 69d0a872dc

Na tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego media biją na alarm o dziesiątkach tysięcy wakatów w edukacji. Dyrektorzy w celu ratowania sytuacji chcą zatrudniać osoby bez formalnych wymagań i wydzwaniają do kolegów będących już na emeryturach, choć i to może nie wystarczyć do załatania dziur kadrowych.

Szkoła jako poligon

Brak nauczycieli to niejedyna bolączka polskiej szkoły, podobnie jak niskie wynagrodzenia w oświacie. Problemów toczących polską szkołę od lat jest bez liku, co więcej – są one dobrze zdiagnozowane i opisane. Powstaje także wiele projektów zaradczych. Nie brakuje bowiem środowisk, którym dobro szkoły, dzieci, rodziców i nauczycieli leży szczerze na sercu, jak np. Koalicja na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, którą tworzy ponad 70 organizacji społecznych. I to chyba jedna z niewielu dobrych wiadomości w tym ogólnym obrazie naszej edukacji. Naprzeciw nich stają jednak wszelkiej maści ideolodzy słusznie widzący w szkole skuteczne narzędzie wykuwania nowego człowieka. Szkoła staje się poligonem ideologicznym i przedłużeniem wojenek politycznych w Sejmie. Pośród tych burz i naporów musi pracować coraz bardziej osamotniony nauczyciel, od którego wymaga się coraz więcej. Pieniędzy i prestiżu mu nie przybywa, za to problemów i obowiązków – tak.

Krajowy Sekretariat Nauki i Oświaty NSZZ „Solidarność" wnikliwie analizuje poczynania kolejnych ministrów edukacji, choć przy obecnym ministerstwie pod kierownictwem Barbary Nowackiej ma naprawdę dużo pracy. Zainteresowanych odsyłamy do strony internetowej snio-solidarnosc.pl, na której apele, analizy i opinie sekretariatu publikowane na bieżąco stanowią swego rodzaju kronikę upadków i niekompetencji obecnego resortu oświaty.

Ostatnio oświatowa Solidarność apelowała do prezydenta RP Karola Nawrockiego o zawetowanie ustawy dotyczącej państwowego e-Dziennika. „Nie sprzeciwiamy się cyfryzacji szkoły. Sprzeciwiamy się jednak rozwiązaniom, które mogą oznaczać dla nauczycieli, dyrektorów i pracowników administracji kolejne obowiązki bez dodatkowego czasu, wynagrodzenia i odpowiedniego wsparcia technicznego. Szczególne obawy budzi okres pilotażu, który może prowadzić do równoległego prowadzenia dwóch systemów dokumentacji, a więc faktycznego zwiększenia zakresu pracy bez jednoznacznej rekompensaty. Oświatowa Solidarność domaga się m.in.: wynagrodzenia za dodatkową pracę związaną z pilotażem i wdrożeniem systemu, zakazu przerzucania na pracowników szkół obowiązku korzystania z prywatnego sprzętu i kont, zapewnienia szkołom sprzętu, szkoleń i pomocy technicznej, ochrony nauczycieli i dyrektorów przed odpowiedzialnością za awarie systemu, rzetelnej oceny pilotażu przed pełnym wdrożeniem e-Dziennika". Jak w soczewce widać tutaj modus operandi wprowadzania reform w oświacie ostatnich lat – brak przygotowania, niejasności, dokładanie biurokracji, brak środków na zaplanowane zmiany. Na problemy związane z e-Dziennikiem zwróciła uwagę nawet „Gazeta Wyborcza".

Pomoce z kieszeni nauczyciela

Przy okazji nauczyciele od lat są sponsorami publicznej szkoły. Nie mogąc się doprosić papieru do drukarki, mazaków do tablic czy nawet map i innych pomocy naukowych, bez których trudno przeprowadzić lekcję, z własnych pieniędzy kupują niezbędne narzędzia do pracy. To tajemnica poliszynela. Duża część nauczycieli nieustannie się dokształca, z danych TALIS 2024 wynika, że aż 97 procent polskich nauczycieli klas 5–8 uczestniczyło w ciągu roku w kursach i szkoleniach, a 96 procent podejmowało samokształcenie, na czym korzysta potem szkoła, szczególnie wobec braków kadrowych, kiedy nauczyciele uczą dodatkowych przedmiotów poza swoim właściwym. Jednak koszty tego kształcenia pokrywa nauczyciel z własnej pensji.

KOSZTY PSYCHICZNE PRACY NAUCZYCIELA SĄ CORAZ WYŻSZE. W CIĄGU OSTATNICH LAT LICZBA NAUCZYCIELI KORZYSTAJĄCYCH Z URLOPU DLA PORATOWANIA ZDROWIA WZROSŁA O 40 PROC. SAMORZĄDY NIE CHCĄ DŁUŻEJ PONOSIĆ KOSZTÓW TYCH URLOPÓW.

eprasa.pl 69d0a872dc

Co najbardziej wykańcza nauczycieli? Eksperci z oświatowej Solidarności wskazują precyzyjnie: „najbardziej wykańcza ich poczucie, że niezależnie od tego, ile zrobią, ile czasu poświęcą i jak bardzo się zaangażują, system i tak za chwilę oznajmi im, że muszą nauczyć się czegoś nowego, poprawić swój warsztat i jeszcze lepiej odpowiedzieć na potrzeby wszystkich dokoła. Nauczyciel ma być specjalistą od wszystkiego, ma nie tylko przekazywać wiedzę, przygotować uczniów do egzaminów i realizować podstawę programową, ale również rozpoznawać kryzysy psychiczne, reagować na przemoc, rozwiązywać konflikty, wspierać uczniów ze specjalnymi potrzebami, współpracować z rodzicami, znać nowe technologie, prowadzić projekty, dbać o dobrostan klasy, budować relacje i jeszcze dokumentować niemal każdy podjęty krok. Lista obowiązków rośnie, lecz doba nauczyciela wciąż ma tylko 24 godziny, a szkolna rzeczywistość nie staje się ani spokojniejsza, ani mniej obciążająca. Szkolenie goni szkolenie”.

Przy okazji wachlarz szkoleń jest naprawdę imponujący, obok kompetencji miękkich, takich jak: praca z uczniem ze specjalnymi potrzebami, indywidualizacja nauczania, współpraca z rodzicami, zarządzanie zachowaniem uczniów – kompetencji społeczno-emocjonalnych, dochodzą kompetencje twarde: nowe technologie, sztuczna inteligencja, wciąż zmieniające się prawo oświatowe, nowe podstawy programowe i nowe sposoby oceniania.

Tymczasem 62 procent nauczycieli wskazuje brak czasu jako podstawową barierę w rozwoju zawodowym. Nie wszystkie szkolenia są sensowne, część z nich prowadzona jest przez osoby bez znajomości szkolnych realiów. Mimo to nauczyciel po godzinach musi „odfajkować” każde szkolenie, by w papierach wszystko się zgadzało.

NAUCZYCIELE OD LAT SĄ SPONSORAMI PUBLICZNEJ SZKOŁY. NIE MOGĄC SIĘ DOPROSIĆ PAPIERU DO DRUKARKI, MAZAKÓW DO TABLIC CZY NAWET MAP I INNYCH POMOCY NAUKOWYCH, Z WŁASNYCH PIENIĘDZY KUPUJĄ NIEZBĘDNE NARZĘDZIE DO PRACY.

Wystawieni na agresję

Myliłby się jednak ten, kto żyje w przekonaniu, że nauczyciel, który potrafi sprostać tym wszystkim wymaganiom, ma prostą ścieżkę awansu i życzliwe spojrzenie przełożonych. „Znacznie częściej pojawia się komunikat, że trzeba jeszcze lepiej współpracować z rodzicami, jeszcze skuteczniej wspierać dobrostan uczniów, jeszcze nowocześniej prowadzić lekcje i jeszcze szybciej dostosowywać się do kolejnych zmian. Nauczyciel porównywany jest do ideału, którego nie sposób osiągnąć: człowieka zawsze cierpliwego, nieustannie dostępnego, emocjonalnie odpornego, technologicznie sprawnego, dydaktycznie nowoczesnego, wychowawczo skutecznego i gotowego z entuzjazmem wdrażać każdą kolejną reformę. Taki model może mobilizować przez chwilę, ale na dłuższą metę prowadzi do zmęczenia, frustracji i przekonania, że niezależnie od wysiłku zawsze pozostaje coś, czego nauczyciel jeszcze nie potrafi, nie zrobił albo zrobił niewystarczająco dobrze. Nie rozwój, lecz permanentna presja” – pisze Krajowy Sekretariat Nauki i Oświaty NSZZ „Solidarność”.

Osobną kwestią są relacje nauczycieli z uczniami. Nauczyciele są nagrywani, obrażani, ośmieszani w internecie, pomawiani, zastraszani, a bywa, że stają się ofiarami agresji. Nauczyciel ma obowiązek dbać o dyscyplinę i bezpieczeństwo w klasie, ale każde jego słowo może zostać nagrane, wyrwane z kontekstu i opublikowane w sieci. Ma rozwiązywać konflikty, ale kiedy sam staje się ich ofiarą, często zostaje z problemem sam i coraz częściej ma obawy, że zwykłe zwrócenie uwagi uczniom zostanie przedstawione jako przemoc.

W kwietniu 2026 r. minister Barbara Nowacka mówiła w Sejmie, odnosząc się do dyskusji o ochronie nauczycieli, że nauczyciele mają związki zawodowe działające na ich rzecz i będące partnerem Ministerstwa. Tyle tylko że związki od dawna alarmują, że system ochrony nauczyciela, a także system odpowiedzialności dyscyplinarnej działają źle i wymagają głębokiej zmiany.

Krajowa Sekcja Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność” już we wrześniu 2024 r. zajęła stanowisko, że należy uchylić obecny rozdział 10 Karty nauczyciela dotyczący odpowiedzialności dyscyplinarnej i stworzyć rozwiązania, które będą chroniły nauczyciela przed opresyjnością systemu, a jednocześnie gwarantowały rzetelne rozpatrywanie rzeczywistych naruszeń. Były rozmowy prowadzo-

eprasa.pl 69d0a872dc

ne w MEN, działała grupa robocza z udziałem związków zawodowych i przewodniczących komisji dyscyplinarnych. Niewiele z tego wynikło.

NAUCZYCIELE SĄ NAGRYWANI, OBRAŻANI, OŚMIESZANI W INTERNECIE, POMAWIANI, ZASTRASZANI, A BYWA, ŻE STAJĄ SIĘ OFIARAMI AGRESJI. NAUCZYCIEL MA OBOWIĄZEK DBAĆ O DYSCYPLINĘ I BEZPIECZEŃSTWO W KLASIE, ALE KAŻDE JEGO SŁOWO MOŻE ZOSTAĆ NAGRANE, WYRWANE Z KONTEKSTU I OPUBLIKOWANE W INTERNECIE.

Koszty psychiczne pracy nauczyciela są coraz wyższe. W ciągu ostatnich lat liczba nauczycieli korzystających z urlopu dla poratowania zdrowia wzrosła o 40 proc. Samorządy nie chcą dłużej ponosić kosztów tych urlopów i postulują, aby ich finansowanie przejął budżet państwa. Nauczyciele muszą mierzyć się z nowymi zjawiskami, np. masowymi orzeczeniami z poradni pedagogiczno-psychologicznych lub kwestią zmiany tożsamości uczniów. Były przypadki, że kilkunastoletnie dziecko stwierdzało, że już nie czuje się chłopcem, tylko dziewczynką, i domagało się, by nauczyciele zwracali się do niego z użyciem feminatywów. Gdy nauczyciel protestował, uwagę zwracał mu psycholog szkolny, że może mieć kłopoty, gdy dziecko oskarży go o dyskryminację. Nowym zjawiskiem w polskiej szkole są także uczniowie z innych krajów i innych kręgów kulturowych, nieraz słabo znający język polski. To wyzwanie dla kadry pedagogicznej.

W końcu last but not least – wynagrodzenia. Oświatowa Solidarność wskazuje, że obecny model wynagradzania nauczycieli opiera się w dużej mierze na corocznych decyzjach politycznych, doraźnych waloryzacjach oraz zmianach wprowadzanych w drodze rozporządzeń. W ocenie KSOiW „mechanizm ten nie zapewnia stabilności ani przewidywalności wzrostu wynagrodzeń. Tegoroczna podwyżka o niespełna 3 proc. nie odpowiada skali narastających problemów płacowych i kadrowych w oświacie”.

Krajowa Sekcja Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność” postuluje, by wynagrodzenie zasadnicze powiązać ze średnim wynagrodzeniem w sektorze przedsiębiorstw, powinno ono wynosić: 100 proc. średniego wynagrodzenia – dla nauczyciela początkującego, 125 proc. – dla nauczyciela mianowanego, 150 proc. – dla nauczyciela dyplomowanego.

Tak skonstruowany system oznaczałby odejście od konieczności każdorazowego prowadzenia długotrwałych negocjacji oraz uzależniania podwyżek od bieżącej sytuacji politycznej. Wzrost wynagrodzeń nauczycieli powinien następować wraz ze wzrostem wynagrodzeń w gospodarce.

Tymczasem od 1 stycznia 2027 r. szkoły będą miały obowiązek organizowania wycieczek. Posłowie odrzucili jednak poprawki, które gwarantowały nauczycielom wynagrodzenie za opiekę nad uczniami oraz chroniły ich czas pracy. W czasie wycieczki szkolnej nauczyciel jest w pracy czasem 24 godziny na dobę i ponosi całkowitą odpowiedzialność za bezpieczeństwo dzieci od początku do końca wyjazdu. To też przygotowanie dokumentacji, zgody rodziców i wiele czynności organizacyjnych. To jednak nie jest przecież wolontariat.

I na koniec wisienka na tym gorzkim torcie – Ministerstwo Edukacji planuje usunięcie domów wczasów dziecięcych z systemu oświaty. Projekt dotyczy 24 placówek, w których zatrudnionych jest co najmniej 162 nauczycieli i 111 pracowników niepedagogicznych. Łącznie skutki zmian mogą dotknąć co najmniej 273 osoby. Mimo to nie przygotowano programu ochrony miejsc pracy, systemu przeniesień ani realnego wsparcia dla pracowników.

AŻ 97 PROCENT POLSKICH NAUCZYCIELI KLAS 5–8 UCZESTNICZYŁO W CIĄGU ROKU W KURSACH I SZKOLENIACH, A 96 PROCENT PODEJMOWAŁO SAMOKSZTAŁCENIE.

eprasa.pl 69d0a872dc

Szkoła pozornego komfortu

Barbara Nowacka obiecuje szkołę przyjazną, bezstresową i niewymagającą. W rzeczywistości propagowana przez nią wizja edukacji to gotowa recepta na **zwiększanie i pogłębienie** społecznych nierówności.

Marek Nowak

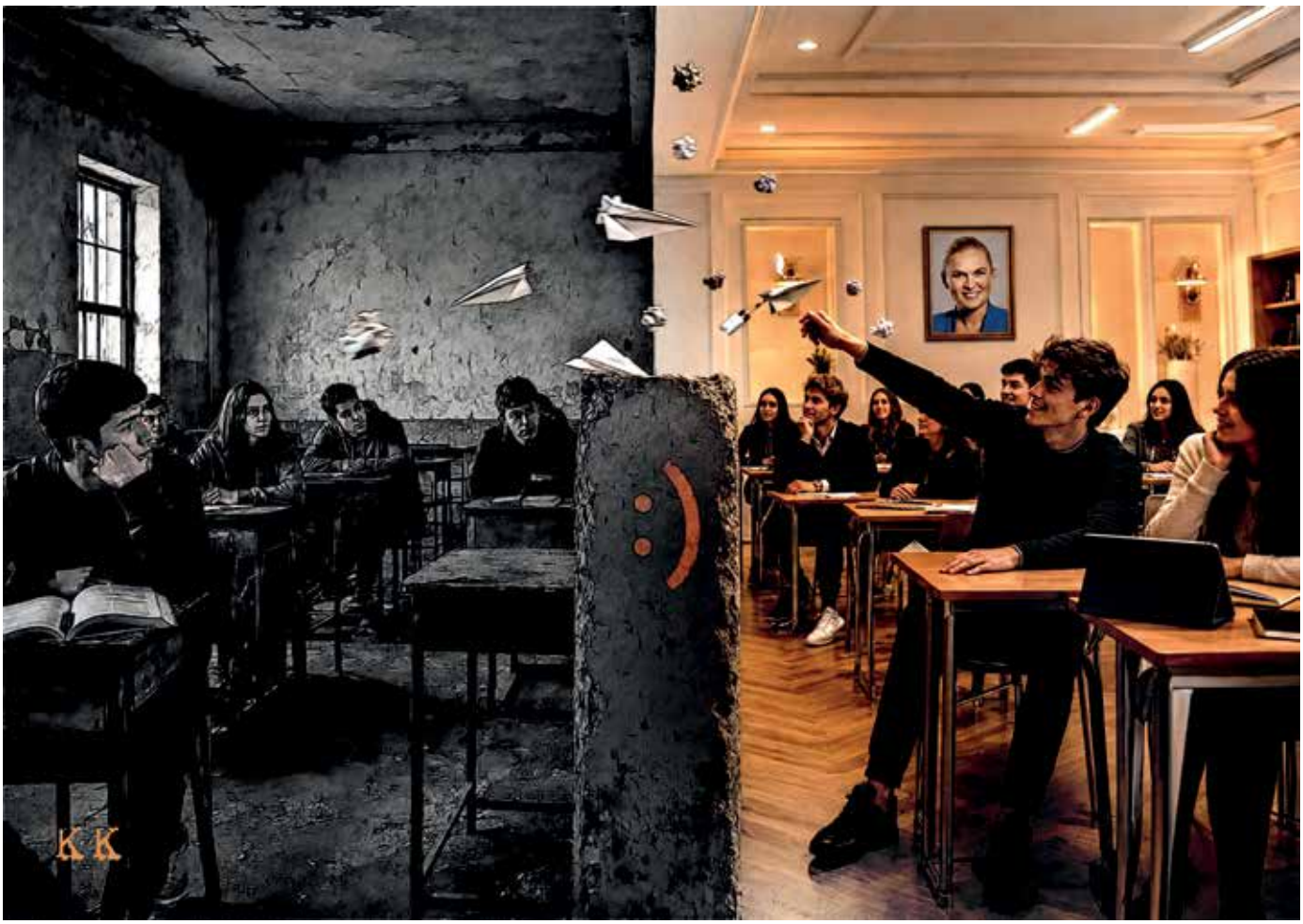

Proj. K. Karnkowski

Polityczna żywotność Barbary Nowackiej jest bez wątpienia jednym z ciekawszych zjawisk związanych z funkcjonowaniem obecnej koalicji rządzącej. Otwierająca rankingi najgorzej ocenianych członków gabinetu ministra edukacji ma – według pojawiających się przed wakacjami nieoficjalnych doniesień medialnych – nie przetrwać planowanej na jesień rekonstrukcji rządu. Co znamienne, dymisję wieszczono jej już przy okazji pierwszej, ubiegłorocznej rekonstrukcji gabinetu Donalda Tuska. Wtedy jednak utrzymała stanowisko i wszystko wskazuje na to, że przetrwa również nadchodzące zmiany. Pozycja Nowackiej w Radzie Ministrów

eprasa.pl 69d0a872dc

okazuje się więc zaskakująco silna, co na pierwszy rzut oka może dziwić. Wywodząca się z lewicy polityczka nie stoi przecież za żadną liczącą się frakcją wewnątrz Koalicji Obywatelskiej. Inicjatywa Polska – wirtualne ugrupowanie, którym kierowała przed polityczną osmozą z Platformą Obywatelską – to byt, o którego istnieniu wiedzieli wyłącznie polityczni koneserzy. Nie dysponował on ani strukturami, ani społecznym poparciem, które dawałoby szansę na choćby szczątkową podmiotowość. Z czego zatem wynika ta siła? Przy okazji poprzednich roszad kadrowych poseł Polski 2050 Sławomir Ćwik zażartował, że „wystarczy połączyć kropki", aby zrozumieć, dlaczego Nowacka pozostała w resorcie. Wywołało to lawinę niesmacznych żartów i spekulacji o rzekomym romansie ministry z premierem. Tymczasem ów proces „łączenia kropek" dotyczy czegoś zupełnie innego. Obecny rząd w wielu obszarach nie ma wyraźnego oblicza ani celu. Cała jego polityka – jeśli odliczyć stricte rewanżystowski wymiar zawarty w wiecznym „rozliczaniu PiS-u" – przypomina permanentny dryf. Brakuje tu choćby naszkicowanej wizji rozwoju, świeżych pomysłów, energii czy przywództwa rozumiejącego różnicę między rządzeniem a administrowaniem. Na tym mdłym tle działania Barbary Nowackiej jawią się jako spójne i wyraziste. Oglądamy swoistą wojnę wypowiedzianą szkolnej katechezie, ale przede wszystkim – dotychczasowemu kształtowi programów nauczania. Znaczącej redukcji tradycyjnego kanonu wiedzy towarzyszy tu zalew oferty ideologicznej. Nowacka od początku konsekwentnie kreuje się na rzeczniczkę szkoły nowoczesnej, „europejskiej", otwartej i równościowej. Swoich oponentów obsadza natomiast w rolach ludzi zacofanych, broniących hierarchicznej i skostniałej instytucji. Spór o edukację staje się w tej optyce konfliktem między strukturami zastygłymi w przeszłości a tymi otwartymi na nowoczesność. Donald Tusk od zawsze najlepiej czuł się w warunkach ostrej polaryzacji. Barbara Nowacka, skutecznie wypełniając ideową pustkę jego gabinetu i generując silne emocje społeczne, może być dziś szefowi rządu po prostu politycznie niezbędna. W tym miejscu warto się jednak zatrzymać. O ile z perspektywy kulturowego konserwatyzmu projekt Nowackiej wydaje się nie do zaakceptowania, o tyle może on przecież brzmieć atrakcyjnie dla ludzi o innej wrażliwości. W końcu „szkoła Nowackiej" niesie w sobie obietnicę budowy instytucji bardziej wspólnotowej, inkluzywnej i skutecznie niwelującej nierówności społeczne. Taka wizja bez wątpienia ma prawo uwodzić. Pytanie brzmi: czy zmiany proponowane przez Ministerstwo Edukacji Narodowej rzeczywiście prowadzą do realizacji tych haseł? Obawiam się, że w wielu miejscach skutek będzie dokładnie odwrotny.

Pułapka braku prac domowych

O społecznej szkodliwości najgłośniejszej decyzji, którą było rozporządzenie z marca 2024 roku znoszące obowiązkowe prace domowe w szkołach podstawowych, pisałem już kilkukrotnie na łamach naszego tygodnika. Kierownictwo MEN-u niezmiennie broni tamtej decyzji. – Rozumiem, że to budzi dyskusje. Ale polska szkoła potrzebuje zmiany. Dzieci mają prawo do czasu wolnego i mogą go spędzać, jak chcą. Np. na czytaniu lektur, na zajęciach dodatkowych. Ale szkoła ma też za zadanie wyrównać szanse. Mam poczucie głębokiej niesprawiedliwości, że dzieci rodziców zamożniejszych albo z większą ilością czasu i wysokimi kompetencjami społecznymi mogły się znacznie lepiej przygotowywać w domu niż dzieci, które były stygmatyzowane brakiem pracy domowej i złą oceną – mówiła Nowacka. Jednak to tłumaczenie wydaje się kompletnie kuriozalne. Zmniejszenie obowiązków edukacyjnych dotyczących wszystkich oznacza w praktyce zwiększenie szans dzieci o wysokim kapitale kulturowym, które nabywają umiejętności i kompetencje kulturowe w dużym stopniu już w miejscach socjalizacji pierwotnej, takich jak dom i rodzina. Miejsca socjalizacji wtórnej, takie jak szkoła, w założeniu mają próbować te różnice niwelować. Jednym z narzędzi temu służących są właśnie prace domowe. Co więcej, zniesienie prac domowych w praktyce przenosi odpowiedzialność za utrwalanie wiedzy na dom rodzinny. Dzieci z rodzin o wyższym kapitale kulturowym

DZIECI Z RODZIN UBOŻSZYCH POZBAWIONE WSPARCIA I SYSTEMATYCZNEJ PRACY DOMOWEJ MOGĄ OSIĄGAĆ, NAWET JEŚLI SĄ ZDOLNE, SŁABSZE WYNIKI W NAUCE, PRZEZ CO „RÓŻNICE KLASOWE" W OBRĘBIE SZKOLNEJ SPOŁECZNOŚCI MOGĄ ROSNĄĆ I SIĘ POGŁĘBIAĆ.

eprasa.pl 69d0a872dc

i ekonomicznym otrzymują pomoc od rodziców lub mają opłacone korepetycje. Jeśli kapitał ekonomiczny rodziców jest wystarczająco wysoki, mogą oni nawet zapisać lub przenieść dzieci do szkół prywatnych, w których prace domowe dalej obowiązują. Dzieci z rodzin uboższych pozbawione tego wsparcia i systematycznej pracy domowej mogą osiągać, nawet jeśli są zdolne, słabsze wyniki w nauce, przez co „różnice klasowe" w obrębie szkolnej społeczności mogą rosnąć i się pogłębiać. Raport Instytutu Badań Edukacyjnych z października 2025 roku, oparty na reprezentatywnej próbie ponad 2000 szkół, po pełnym roku funkcjonowania zmian powinien budzić uzasadniony niepokój. Ponad dwie trzecie badanych nauczycieli (oraz aż 84% w klasach IV–VIII) wskazało na wyraźne obniżenie chęci do samodzielnej nauki i systematyczności u dzieci. Jak nietrudno się domyślić, to również uderza najmocniej w dzieci z rodzin o niższym statusie ekonomicznym. Nie jest to jednak jedyna zwiększająca nierówności zmiana wprowadzona przez MEN.

Wielkie cięcie

Kolejną fundamentalną kwestią jest propagowane przez obecne kierownictwo Ministerstwa „odchudzanie" programów nauczania, połączone z obniżaniem wymagań i rozmywaniem standardów edukacyjnych. Resort z dumą chwali się uszczupleniem podstawy programowej o około 20 procent w odniesieniu do 18 przedmiotów w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych. Zwolennicy tego kierunku argumentują, że szkoła publiczna z samej swojej istoty musi być egalitarna – nastawiona w większym stopniu na socjalizację niż na taśmowe wytwarzanie przyszłych elit. To z kolei miałoby oznaczać, że powszechny charakter instytucji zawsze musi zostać okupiony pewnym spadkiem jakości kształcenia. To oczywiście prawda; podobny proces od lat obserwujemy w wielu systemach edukacyjnych na całym świecie. Konstatacja ta nie powinna jednak zwalniać decydentów z głębszej refleksji nad konsekwencjami własnych kroków. Kluczowe staje się przecież pytanie: z czego można bezwzględnie zrezygnować, a co za wszelką cenę warto zachować? Wszak dobrze funkcjonująca – a więc także odpowiednio wymagająca – szkoła publiczna od zawsze stanowiła najskuteczniejsze narzędzie pozwalające dzieciom z uboższych domów przezwyciężać determinizm społeczny i bariery wynikające z urodzenia. Czy „szkoła Nowackiej" – z założenia mało wymagająca, w której redukcja stresu związanego z nauką stała się jednym z głównych dogmatów – może faktycznie niwelować te różnice? Nawet jeśli pod nowymi rządami stanie się ona miejscem pozornie bardziej „przyjaznym", to ów komfort może okazać się niezwykle zwodniczy. Każda deregulacja systemu w naturalny sposób premiuje bowiem jednostki dysponujące większym kapitałem prywatnym. W tym przypadku zaś rozmontowywanie dotychczasowych ram nie jest produktem ubocznym reform, lecz samą ich istotą. Dalekosiężne konsekwencje tego podejścia nie są dziś jeszcze w pełni widoczne, z czasem jednak ujawnią się z całą mocą.

> PONAD DWIE TRZECIE BADANYCH NAUCZYCIELI (ORAZ AŻ 84% W KLASACH IV–VIII) WSKAZAŁO NA WYRAŹNE OBNIŻENIE CHĘCI DO SAMODZIELNEJ NAUKI I SYSTEMATYCZNOŚCI U DZIECI.

Skąd wziąć nauczycieli?

Następnym systemowym problemem, którego skala z każdym rokiem będzie narastać, jest kwestia wynagrodzeń nauczycieli i bezpośrednio związany z nią, pełzający kryzys kadrowy. Mimo spektakularnie zapowiadanych podwyżek na początku kadencji obecnej koalicji w szkołach publicznych wciąż brakuje tysięcy pedagogów. Kryzys ten ma charakter wybitnie strukturalny – najdotkliwiej brakuje nauczycieli przedmiotów ścisłych, fizyków, matematyków, informatyków oraz anglistów, czyli specjalistów, którzy bez trudu odnajdują lukratywne zatrudnienie w sektorze prywatnym. Wakaty te najsilniej uderzają w mniejsze miejscowości i uboższe regiony, drastycznie obniżając tam jakość kształcenia. W tym samym czasie w dużych aglomeracjach zamożniejsi rodzice po prostu ewakuują swoje dzieci z niewydolnego systemu. Problemem nie są zresztą wyłącznie pieniądze, ale też postępujące przepracowanie, z roku na rok rosnąca biurokracja oraz drastyczny spadek prestiżu społecznego tego zawodu. Co gorsza, Ministerstwo – działające często z pozycji dogmatycznej nieomylności – nie traktuje środowiska nauczycielskiego jako realnego partnera w dyskusji o przyszłości oświaty. W rezultacie głos praktyków, którzy na co dzień zmagają się

eprasa.pl 69d0a872dc

ze szkolnymi realiami, jest w debacie publicznej niemal nieobecny, a sami nauczyciele czują się jedynie bezwolnymi wykonawcami kolejnych urzędniczych eksperymentów. W efekcie polska szkoła stoi dziś na krawędzi katastrofy pokoleniowej. Starsza kadra, ukształtowana jeszcze w etosie społecznej misji i powołania, powoli odchodzi na emeryturę. Naturalna wymiana pokoleniowa jednak nie następuje. Młodzi absolwenci stoją przed wyborem: albo ucieczka z zawodu do korporacji, albo praca w szkolnictwie prywatnym, które kusi nie tylko lepszymi zarobkami, ale przede wszystkim mniejszym obciążeniem zadaniami pozadydaktycznymi i większym komfortem psychicznym. Godząc się na taki stan rzeczy, MEN nieświadomie uruchamia mechanizm negatywnej selekcji do zawodu w sektorze publicznym. Prowadzi to do ostatecznego i niezwykle groźnego pęknięcia: otrzymujemy system dwuklasowy, w którym darmowa szkoła publiczna staje się instytucją opiekuńczo-przechowawczą dla uboższych, a rzetelna edukacja – towarem luksusowym dostępnym wyłącznie na wolnym rynku.

Niewiele głosów w przestrzeni publicznej podnosi kwestię realnych społecznych skutków polityki prowadzonej przez obecne kierownictwo MEN-u. Od dawna robią to związki zawodowe. Proszę o komentarz dr. Waldemara Jakubowskiego, przewodniczącego Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność": – Jeżeli chcemy rzeczywiście wyrównywać szanse edukacyjne, musimy budować silną szkołę publiczną – dobrze finansowaną, wymagającą, opartą na wiedzy, szanującą nauczyciela i ucznia oraz zakorzenioną w polskiej tradycji i kulturze. Tylko taka szkoła może być rzeczywistym narzędziem awansu społecznego, a nie instytucją, która pod hasłem równości zaczyna utrwalać istniejące nierówności – podkreśla dr Jakubowski.

Rachunek za pozory

Spojrzenie na dotychczasowy bilans rządów Barbary Nowackiej ujawnia głębokie pęknięcie między deklarowanymi intencjami a realnymi skutkami realizowanej polityki. Projekt, który w warstwie narracyjnej niesie obietnicę budowy szkoły nowoczesnej, inkluzywnej i wrażliwej społecznie, w praktyce okazuje się mechanizmem demontażu fundamentów egalitarnej edukacji publicznej. Likwidacja prac domowych, drastyczne uszczuplenie wymagań programowych czy wreszcie ignorowanie strukturalnego kryzysu kadrowego układają się w spójną całość. Łącząc te kropki, otrzymujemy obraz systemu, który abdykuje ze swojej najważniejszej emancypacyjnej funkcji. Publiczna szkoła zamiast być wielkim demokratycznym niwelatorem barier społecznych i narzędziem awansu dla jednostek z uboższych środowisk, staje się instytucją sankcjonującą, utrwalającą, a nawet pogłębiającą zastane nierówności. Każda rezygnacja państwa z egzekwowania wysokich standardów kształcenia to ukłon w stronę uprzywilejowanych. Oni stratę rynkową zrekompensują kapitałem własnym – korepetycjami, prywatnymi lekcjami czy ucieczką do elitarnych szkół niepublicznych. Dla dzieci z rodzin o niskim kapitale ekonomicznym i kulturowym obniżenie poprzeczki w publicznej placówce może oznaczać trwałe uwięzienie w strukturze własnej klasy społecznej. Problem ten kompletnie nie interesuje współrządzącej Nowej Lewicy, której lidera bardziej zajmuje zwalczanie prezydenta niż jakakolwiek agenda prospołeczna. Problem ten nie interesuje również premiera Donalda Tuska. W rządzie cierpiącym na programowy paraliż i dryfującym od kryzysu do kryzysu wyrazista tożsamościowo Barbara Nowacka odgrywa istotną rolę. Generując głośne, spolaryzowane spory wokół szkolnej katechezy czy odchudzonych lektur, skutecznie zasłania i wypełnia ideową pustkę gabinetu. Wciąga opozycję w wojnę kulturową na ringu, który premier zna najlepiej i na którym od lat buduje swoją polityczną pozycję. Nowacka jest dziś Tuskowi potrzebna nie jako rzetelny reformator, ale jako skuteczny piorunochron i sprawny polaryzator opinii publicznej. Za ten czysty pragmatyzm polityczny i medialne igrzyska przyjdzie nam jednak zapłacić dramatycznie wysoki rachunek. To nie premier ani kierownictwo MEN-u poniosą koszty tej transformacji. Poniosą je uczniowie z mniejszych ośrodków i uboższych domów, którym państwo polskie właśnie znacząco utrudnia szansę na lepszą przyszłość, w zamian oferując jedynie pozornie przyjazną, mało wymagającą karykaturę systemu edukacji.

RESORT Z DUMĄ CHWALI SIĘ USZCZUPLENIEM PODSTAWY PROGRAMOWEJ O OKOŁO 20 PROCENT W ODNIESIENIU DO 18 PRZEDMIOTÓW W SZKOŁACH PODSTAWOWYCH I PONADPODSTAWOWYCH.

eprasa.pl 69d0a872dc

Edukacja zdrowotna, czyli inżynieria społeczna

Wokół kwestii edukacji zdrowotnej przetoczyło się w ciągu ostatniego roku wiele debat i wystąpień publicznych, w których organizację **mocno włączyła się** oświatowa Solidarność.

Agnieszka Żurek

Wygrana została „bitwa" – choć edukacja zdrowotna będzie od 1 września br. przedmiotem obowiązkowym, to jednak jej część dotycząca kwestii rozwoju seksualnego ma być przedmiotem fakultatywnym. Związkowcy wskazują jednak, że do wygrania wojny o polską szkołę droga jest jeszcze daleka, a przeciwnik – sprytny, bezwzględny i dysponujący ogromnymi środkami finansowymi.

Teoria a praktyka

Od roku szkolnego 2026/2027 edukacja zdrowotna będzie przedmiotem obowiązkowym w klasach od IV do VIII szkoły podstawowej oraz przez dwa lata w szkołach ponadpodstawowych. Obowiązkowe będą takie działy jak: bezpieczeństwo, higiena cyfrowa, odżywianie, profilaktyka uzależnień, zdrowie psychiczne, fizyczne i społeczne oraz pierwsza pomoc. Nieobowiązkowe będą natomiast zagadnienia dotyczące zdrowia seksualnego. Przedmiotu będą mogli nauczać, tak jak dotychczas, nauczyciele biologii, przyrody, wychowania fizycznego, wychowania do życia w rodzinie oraz nauczyciele psycholodzy.

Jak jednak pokazuje doświadczenie krajów Europy Zachodniej, które wprowadziły edukację zdrowotną wcześniej od Polski i w których również część rodziców miała poważne zastrzeżenia co do treści prezentowanych ich dzieciom w ramach modułu edukacji seksualnej, dobrowolność uczestniczenia w tej ostatniej, częściej bywa zagwarantowana na papierze niż realizowana w praktyce. O ostatecznym kształcie prezentowanych dzieciom treści często decydują dyrektorzy placówek

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 69d0a872dc

edukacyjnych oraz stopień determinacji rodziców w walce z „systemem". Wiele pojęć – na co wskazuje oświatowa Solidarność – jest sformułowanych na tak dużym poziomie ogólności, że ich interpretacja będzie zależała od danego nauczyciela czy szefa placówki edukacyjnej. W sferze organizacyjnej nie brakuje tzw. paragrafów 22, kiedy to na przykład zajęcia szkolne układane są tak, że kontrowersyjny przedmiot jest umieszczony w planie lekcji w środku dnia, a uczniowie, których rodzice nie zgadzają się na uczestniczenie w nim ich dzieci, nie mają gwarancji, że w tym czasie uczniom zorganizowana zostanie odpowiednia opieka.

Polska jako wyjątek

Zwolennicy edukacji seksualnej grają zatem „na zmęczenie", licząc na to, że w którymś momencie rodzice mający wiele obowiązków stracą siły i determinację, godząc się na odgórnie proponowany program siłą inercji. I często tak właśnie się dzieje, co pokazuje praktyka Zachodu. Polska ma jednak szansę stać się wyjątkiem. Jak wskazuje Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, decyzję o wypisaniu dzieci z zajęć edukacji zdrowotnej podjęło w tym roku bardzo wielu rodziców, co jest sprawą niebagatelną, ponieważ odpadnie w ten sposób niezwykle istotna w takich sprawach presja większości. „Minister Barbara Nowacka początkowo chciała, aby edukacja zdrowotna była przedmiotem obowiązkowym. Po fali protestów i sprzeciwu społecznego MEN wycofało się z tego zamiaru, a rodzice otrzymali możliwość rezygnacji z udziału dzieci w zajęciach. Skorzystali z niej na ogromną skalę. W szkołach ponadpodstawowych w Kielcach z zajęć zrezygnowało 89,6 proc. uczniów, w Ełku – 87 proc., w warszawskich szkołach ponadpodstawowych – 86 proc., a w liceach i technikach na Lubelszczyźnie – 85–86 proc. W wielu innych miejscach wyniki również pokazały skalę sprzeciwu rodziców i młodzieży. Warto przypomnieć te liczby właśnie dzisiaj. Pokazują bowiem, że informowanie Polaków ma sens. Że rodzice reagują, kiedy dowiadują się, co dzieje się w szkołach ich dzieci" – podaje Ordo Iuris, zapewniając o gotowości do stałego wsparcia prawno-informacyjnego, dzięki któremu rodzice będą mogli przekopać się przez towarzyszący reformie chaos.

Prawnicy z Ordo Iuris wskazują, że edukacja zdrowotna nie jest przedmiotem neutralnym światopoglądowo nawet po wyodrębnieniu części dotyczącej seksualności i że Ministerstwo Edukacji Narodowej mydli w tej sprawie oczy opinii publicznej. Zaznaczają, że edukacja zdrowotna to de facto atak na konstytucyjnie chronioną rodzinę opartą na trwałym małżeństwie kobiety i mężczyzny, a tymczasem „w wizji Barbary Nowackiej nie ma żadnej różnicy między rodziną a związkiem dwóch osób, które nie chcą mieć dzieci, bo wolą mieć «psiecko», czy związkami osób tej samej płci". „Obowiązkowa część «edukacji zdrowotnej» to także normalizacja rozwodów, promowanie genderowej narracji o stereotypach płciowych i potrzebie poszanowania «ludzkiej różnorodności», która w lewicowej wizji obejmuje przede wszystkim

eprasa.pl 69d0a872dc

orientację seksualną i tożsamość płciową. Co więcej, dzieci w klasach IV–VI mają być obowiązkowo nauczane o «obowiązkach rodziców». Sprawa zostaje postawiona w sposób, który godzi w autorytet rodzica, stawia dziecko w charakterze «kontrolera» mamy i taty, zachęca je do oceny rodziców z perspektywy modnych technik wychowawczych promowanych przez liberalną lewicę" – dodają eksperci Instytutu.

Obniżanie wymagań

Duży udział w kampanii na rzecz uświadomienia rodzicom, co faktycznie kryje się pod neutralnie brzmiącymi hasłami o zdrowiu, odegrała oświatowa Solidarność, która prężnie włączyła się w działania Koalicji na Rzecz Obrony Polskiej Szkoły, organizując kampanie billboardowe, konferencje, demonstracje, kolportując materiały informacyjne oraz wywierając nacisk na polityków, aby podejmowali odpowiednie działania na rzecz obrony polskiej szkoły.

Owocem tego jest m.in. złożenie przez Prawo i Sprawiedliwość wniosku do Trybunału Konstytucyjnego o stwierdzenie niekonstytucyjności przepisów wprowadzających obowiązkowość edukacji zdrowotnej, a także sposobu traktowania komponentu edukacji dotyczącej zdrowia seksualnego.

Jak jednak wskazują działacze KROPS, nie czas na świętowanie sukcesu, lecz przeciwnie – potrzebna jest dalsza mobilizacja i czujność. „Minister Barbara Nowacka szykuje kolejną rewolucję w polskiej szkole – Reformę26. Nie ma w niej jednak miejsca na dobro uczniów. Pod pozorem «unowocześnienia» edukacji kryje się obniżenie wymagań i dalsza tęczowa ideologizacja programu nauczania. Zamiast szkoły przekazującej solidną wiedzę, uczącej historii i wychowującej młode pokolenie w duchu wartości, które przez pokolenia kształtowały polską tożsamość, otrzymujemy kolejny etap ideologicznego eksperymentu" – alarmują obrońcy polskiej szkoły.

Działacze KROPS uruchamiają kolejną ogólnopolską kampanię edukacyjną pod hasłem „Broń polskiej szkoły przed Nowacką". Jej celem jest – podobnie jak w przypadku poprzednich działań Koalicji – wyjaśnienie rodzicom istoty na pozór neutralnie brzmiącej reformy i zachęcenie ich do aktywności społecznej w obronie poziomu edukacji ich dzieci. „Każdy billboard będzie zawierał kod QR prowadzący do strony naszej akcji. Rodzice znajdą tam informacje o reformie, a także gotowy wzór oświadczenia, który pozwoli wypisać dziecko z kontrowersyjnych zajęć. Nie chcemy więc ograniczać się do alarmowania. Chcemy od razu przekazać rodzinom konkretne narzędzie umożliwiające działanie. Rok temu przekonaliśmy się, że taki sposób docierania do Polaków działa. Dlatego chcemy zrobić to ponownie" – deklarują organizatorzy akcji.

Oświatowa Solidarność od lat stoi na stanowisku, że w kwestii edukacji zdrowotnej najlepszym rozwiązaniem byłoby przywrócenie cieszącego się uznaniem rodziców i nauczycieli przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie. Pozostawienie tego przedmiotu w szkołach oszczędziłoby zapewne uczniom, rodzicom i nauczycielom wielu nerwów i chaosu. Warunkiem takiej decyzji byłaby jednak otwartość resortu edukacji na rzeczywiste konsultacje społeczne i dialog. A ten – zdaniem związkowców – jest czysto fasadowy i pozorowany.

„Rada Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ «Solidarność» wyraża stanowczy protest wobec sposobu prowadzenia polityki oświatowej przez Ministerstwo Edukacji Narodowej oraz wobec faktycznego zaniku dialogu społecznego w sprawach fundamentalnych dla funkcjonowania polskiej edukacji. Od wielu miesięcy środowisko nauczycieli i pracowników oświaty doświadcza sytuacji, w której konsultacje społeczne stają się jedynie fasadowym elementem procesu legislacyjnego, a stanowiska organizacji reprezentujących pracowników są ignorowane lub sprowadzane do roli formalnego dodatku do wcześniej podjętych decyzji politycznych" – czytamy w niedawnym stanowisku KSOiW „S". Bronią Solidarności pozostaje zatem to, co od początku stanowiło o jej sile – organizowanie się ponad podziałami dla dobra wspólnego i oddolna edukacja obywatelska – kiedyś na falach Radia „Solidarność", a dziś w internecie, na billboardach i – last but not least – poprzez zawsze aktualną „propagandę szeptaną".

O OSTATECZNYM KSZTAŁCIE PREZENTOWANYCH DZIECIOM TREŚCI CZĘSTO DECYDUJĄ DYREKTORZY PLACÓWEK EDUKACYJNYCH ORAZ STOPIEŃ DETERMINACJI RODZICÓW W WALCE Z „SYSTEMEM".

eprasa.pl 69d0a872dc

Edukacja dla wybranych

Szkoła to nie tylko zdobywanie wiedzy – także nauka funkcjonowania w grupie, w społeczeństwie. To pierwsza konfrontacja z opiniami kolegów **na temat wyglądu rówieśników**. Jak cię widzą, tak cię piszą – głosi przysłowie, i dzieciaki zaczynają bardzo wcześnie to zauważać oraz stosować w praktyce. W wielu renomowanych szkołach III RP przywrócono obowiązek noszenia indywidualnie zaprojektowanych uniformów, które mali i więksi noszą z dumą, jako że przynależność do elitarnej placówki to rodzaj nobilitacji, co dociera nawet do małolatów.

Monika Małkowska

Kwestia, „w czym do szkoły", jest równie ważna jak, „do jakiej szkoły". Publicznej, prywatnej, społecznej czy w ogóle żadnej, zamienionej na edukację domową pod kierunkiem mamy, taty lub dziadków. A może kogoś stać na zatrudnienie guwernantki indywidualnie uczącej dzieci nie tylko różnych przedmiotów czy języków obcych, ale również wpajającej im zasady bon tonu? Albo decyduje się na swobodny, samodzielny rozwój dziecka według zasad Marii Montessori, dla której szkolna ławka była synonimem zniewalania naszej wrodzonej kreatywności? Współcześnie nie obowiązuje bowiem jedna forma edukacji. Wraz z bogaceniem się polskiego społeczeństwa wróciły niektóre niegdysiejsze metody edukowania, ze zrozumiałych względów zaniechane za czasów komuny. Co prawda, nawet w PRL-u funkcjonował nieformalny ranking szkół średnich – podstawówki były przypisywane ze względu na miejsce zamieszkania. Licea z tradycjami, uchodzące za bardziej konserwatywne, były oblegane w większym stopniu niż te „komusze". Co ciekawe – do tej pory nie straciły renomy najbardziej

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 69d0a872dc

prestiżowe warszawskie szkoły, jak choćby: im. Klementyny Hoffmanowej (najstarsza żeńska stołeczna szkoła średnia, obecnie koedukacyjna), im. Cecylii Plater-Zyberkówny, im. Narcyzy Żmichowskiej (istniejąca od 1919 r., u swych początków umożliwiająca uzyskanie matury dziewczętom z niezamożnych rodzin), im. Tadeusza Reytana (też z historią od 1919 r.), im. Stefana Batorego, im. Stanisława Staszica czy im. Tadeusza Czackiego. Te licea stanowią polski odpowiednik najbardziej prestiżowych zachodnich szkół (jak np. Eton College – symbol elitarnej brytyjskiej edukacji). Do tych miejsc nie startują dzieciaki z uboższych rodzin. I nie chodzi tylko o wysokość czesnego (w szkołach społecznych), lecz także o familijne zaplecze. W III RP w otoczonych sławą liceach kształci się i kształtuje poprzełomowa „elita", której poziom usadowienia na drabinie społecznej wyznacza jedynie status majątkowy. W takich szkołach zaczyna się wykluczanie tych „gorszych", to tam formatują się antydemokratyczne (wbrew deklaracjom) postawy. W tych placówkach obowiązuje zarówno formalny, jak i nieformalny dress code, widome świadectwo zasobności rodzicielskiej kieszeni.

Wspomnienie niebieskiego fartuszka

Wśród moich (nie)obowiązkowych lektur lat szkolnych były rozliczne komemoracje przywołujące odległe czasy i formy edukacji, osobne dla chłopców i dziewcząt. „Klaudyna w szkole" Sidonie-Gabrielle Colette, „Wspomnienia niebieskiego mundurka" Wiktora Gomulickiego czy „Emancypantki" Bolesława Prusa wydawały się egzotyką z wielu względów. Już sam podział szkół na żeńskie i męskie trącił anachronizmem. A ten XIX-wieczny rygor ubraniowy! Prawda, za PRL-u też nie chodziło się do szkoły odzianym jak w domu. Obligatoryjne były szkolne kapcie, noszone w workach (podręczna broń podczas uczniowskich przepychanek). Najtrudniejszy był wymóg białego kołnierzyka. Koszmar, co dzień pranie i prasowanie. Przypinało się go do granatowego fartuszka, który krojem przypominał strój magazyniera: worek rozpinany z przodu, z dużymi kieszeniami po bokach. Tkaniną, z której najczęściej go szyto, była tandetna połyskliwa podszewka, w okresie boomu na syntetyki zamieniona na stylon lub nylon, wyjątkowa zmora podczas gorących dni. Fartuch był strojem typu uniseks, jednakowy dla dziewcząt i chłopców, zamieniający wszystkich (wizualnie) w bezkształtne pałuby. Gdyby zorganizować konkurs na najbardziej aseksualny ubiór, szkolne chałaty wygrałyby w cuglach. Te granatowe paskudztwa temu właśnie służyły – odbieraniu atrakcyjności młodej ludzkiej istocie. Uczniowie mieli koncentrować się na zdobywaniu wiedzy, nie na wyglądzie własnym i kolegów. Chodziło też o zatarcie różnic w statusie materialnym rodziców, co akurat w PRL-u nie grało większej roli – w tamtym ustroju (teoretycznie) zlikwidowano społeczne rozwarstwienie. Ważna też była tarcza z numerem szkoły przyszyta do rękawa okrycia – czasem jakiś nadgorliwy nauczyciel sprawdzał, czy mocno się trzyma. Gdyby jakiś szkolnik narozrabiał w miejscu publicznym, tarcza pozwalała od razu zidentyfikować placówkę, do której uczęszczał delikwent.

W III RP W OTOCZONYCH SŁAWĄ LICEACH KSZTAŁCI SIĘ I KSZTAŁTUJE POPRZEŁOMOWA „ELITA", KTÓREJ POZIOM USADOWIENIA NA DRABINIE SPOŁECZNEJ WYZNACZA JEDYNIE STATUS MAJĄTKOWY.

Egalitaryzm czy elitaryzm

Tradycja szkolnego umundurkowania sięga... czasu zaborów, kiedy strój uczniowski symbolizował przynależność narodową. Po odzyskaniu niepodległości, w II RP, szkoła elementarna (7 klas) była obowiązkowa, jednolita i bezpłatna. Od szkoły średniej zaczynały się społeczne schody. Edukacja ponadpodstawowa była płatna nawet w szkołach państwowych (ok. 22 zł miesięcznie), w ekskluzywnych prywatnych gimnazjach zaś czesne było dwukrotnie lub trzykrotnie wyższe. Cennik decydował o rekrutacji uczniów – niemal wszyscy wywodzili się z rodzin ziemiańskich, wyższych urzędników i zamożnej inteligencji. Były jeszcze szkoły stricte katolickie prowadzone przez zakony urszulanek, niepokalanek czy jezuitów, często łączone z internatami, szczycące się wysokim standardem nauczania – również płatne. W większości placówek obowiązywały mundurki. Ujednolicony strój, który na terenie szkoły wydawał się egalitarny, poza nią świadczył o klasowej przynależności: mundurek (lub jego brak) niósł informację o szkole i pochodzeniu ucznia.

eprasa.pl 69d0a872dc

Ideologia od krawata

Po II wojnie szkolna moda dopasowana została do radzieckich standardów. Zdaniem Czesława Miłosza meblowanie głów komunistyczną ideologią zaczynało się od zewnętrznej urawniłowki, w tym tej szkolnej. Za stalinizmu białe bluzki lub koszule zwieńczały „przynależnościowe" czerwone krawaty bezwzględnie obowiązujące podczas szkolnych apeli, akademii czy państwowych uroczystości. Biała góra stroju w odświętnych sytuacjach trwa do dzisiaj, jednak codzienność już za Władysława Gomułki stała się bardziej przaśna. Ogólnonarodowe ubóstwo okryła wspomniana powyżej fartuchowa „schludność". Zmieniło się to za gierkowskiego „dobrobytu na kredyt", kiedy w niektórych szkołach ton zaczęły nadawać tzw. bananowe dzieci – latorośle prominentnych polityków, wpływowych urzędników oraz artystów. Obok tradycyjnych „ciuchów" – targowisk ze szmuglowanym towarem – źródłem zaopatrywania się w markowe stroje (dżinsy, dżinsy!) stały się Peweksy. Po wprowadzeniu stanu wojennego w szkołach, tak jak wszędzie, zapanował ubraniowy luz wynikający z powszechnego niedoboru wszystkich towarów. Nie tylko młodzi, całe społeczeństwo odziało się w ręcznie robione swetry z „recyklingowej" włóczki, łaszki ze zrzutów upiększane własnym sumptem, farbowane w pralce Frani sukienki oraz T-shirty z drukowanymi na domowych powielaczach printami, często o antykomunistycznej wymowie. Wielu licealistów angażowało się w podziemną robotę i nikogo nie obchodziło, w czym pojawiano się na lekcjach.

PO WPROWADZENIU STANU WOJENNEGO W SZKOŁACH, TAK JAK WSZĘDZIE, ZAPANOWAŁ UBRANIOWY LUZ WYNIKAJĄCY Z POWSZECHNEGO NIEDOBORU WSZYSTKICH TOWARÓW.

Poprzełomowy luz

Po ustrojowej transformacji, kiedy markowe ciuchy (albo ich podróbki) zaczęły być na krajowym rynku dostępne, w szkołach od podstawowych po średnie, publicznych i społecznych zaczęła się rewia mody. I zapanował modowy terror. Ci, co nosili droższe metki, wyznaczali trendy, patrząc z pogardą na kolegów ubranych w tańsze łaszki. Za taką swobodą ubraniowo-stylistyczną opowiedzieli się psychologowie argumentujący, że umundurowanie młodzieży staje w poprzek ich indywidualizmowi i próbom wyrażenia swej osobowości. Ale znów odezwały się głosy za mundurkami. Nawet młodzież przyznawała, że ułatwiają one poranne przygotowanie się do szkoły. Można także wymienić się z kolegami jakimś elementem stroju, jeśli się go zapomniało, a w razie potrzeby łatwiej „zniknąć" w tłumie. Dyskutowano także problem fryzur i makijażu. Pewien nauczyciel stwierdził, że oszczędny make-up u dziewczyn pomaga im nie rozpraszać się na lekcjach poprawianiem urody. Ten luz trwał aż do... 2007 r., kiedy ówczesny minister edukacji narodowej w osobie Romana Giertycha ponownie wprowadził obowiązek umundurowania wszystkich dzieci z podstawówek i gimnazjów. „Reforma" Giertycha przetrwała rok – w 2008 r. po raz kolejny znowelizowano system oświaty i decyzję co do odzieży szkolnej pozostawiono w gestii dyrekcji placówek oraz rodziców uczniów.

Prawo do samowyrażania

Nie odgórne nakazy, lecz nasze bogacące się w przyspieszonym tempie społeczeństwo zapragnęło zamanifestować stan portfela (również) poprzez wybór formy edukacji potomstwa. Nowa klasa średnia czy raczej grupa do takowej aspirująca chciała „dać dzieciom to, co najlepsze", czego im samym było za młodu brak. A więc – wykształcenia na jak najlepszym poziomie, znajomości języków obcych, rozmaitych sportowych sprawności. Po raz kolejny ubraniowy egalitaryzm odszedł w szkołach w niepamięć. Wraz z powstaniem „ekskluzywnych" szkół społecznych i niepublicznych z wysokim czesnym wróciły lokalne mundurki. I oto w styczniu br. do Ministerstwa Edukacji Narodowej wpłynęła petycja w związku z ewentualnością ponownego zadekretowania szkolnych mundurków. Autor apelu wytoczył przeciwko uniformizacji konstytucyjne armaty: że ujednolicony strój naruszałby godność człowieka i jego wolność osobistą, naruszałby prawo do decydowania o swym życiu oraz prawo do samowyrażania. A przecież szkoła powinna być miejscem wolności, szacunku i rozwoju, a nie ujednolicania i przymusu. Petytor spotkał się z szybką reakcją MEN – nic z tych rzeczy, nie ma takich planów, natomiast Ministerstwo zamierza uregulować następujące kwestie: strój nie może odbiegać od ogólnie przyjętych norm społecznych, zagrażać bezpieczeństwu ani nawoływać do nienawiści czy dyskryminacji. Natomiast obowiązek noszenia mundurka jest każdorazowo decyzją społeczności szkolnej. Czyli wszystko zostaje po staremu.

eprasa.pl 69d0a872dc

Dostajemy lekcję

Fot. Adobe Stock

Ten serial stał się wydarzeniem niemal od razu po premierze w czerwcu tego roku. Do pierwszych protestów doszło jeszcze przed premierą, po której rozpoczęła się dyskusja na temat systemu edukacji i **relacji uczeń – rodzic – nauczyciel** w Korei Południowej. Jednak popularność „Dam ci lekcję" poza krajem produkcji i jego znakomite wyniki na całym świecie pokazują, że problem jest dużo szerszy. Warto o nim wspomnieć, gdy wchodzimy w kolejny rok szkolny.

Krzysztof Karnkowski

Według dostępnych badań olbrzymi procent koreańskiego społeczeństwa spotyka się w swoim życiu z różnymi formami przemocy. Sprzyja temu dość surowa i obowiązkowa służba wojskowa, wciąż silnie hierarchiczna struktura społeczna, a w przypadku kobiet – również mocno osadzony w tradycji konfucjańskiej tradycyjny patriarchalizm. Znajduje to bardzo mocne odbicie w filmach i serialach, a jednym z częściej wykorzystywanych przez twórców tematów jest przemoc rówieśnicza w szkołach.

Sposób na sprawiedliwość

W samej tylko ofercie Netfliksa ten temat w mniej lub bardziej dramatycznej formie pojawia się w takich serialach jak: dotyczące szkoły „Chwała", „Hierarchia", „Słaby bohater" czy pokazujące nadużycia w armii „D.P.". Dorzućmy do tego poruszającego „Króla świń", który jest dostępny w ofercie CDA. „Dam ci lekcję" wpisuje się w ten nurt, równocześnie jednak pozostaje odrębnym zjawiskiem. We wspomnianych opowieściach problem albo rozwiązywany jest legalnie, albo nierozwiązany prowadzi do zemsty ofiar, względnie zmiany szkolnego układu sił za pomocą jakiegoś sprytnego planu i znalezienia sojuszników. Tu mamy do czynienia z rozwiązaniem systemowym, niewpisującym się jednak w system, który znamy. Państwo przyznaje sobie prawo

eprasa.pl 69d0a872dc

do użycia przemocy – to jeszcze nic nowego. Tyle że jej obiektem, bez żadnej taryfy ulgowej, stają się zdemoralizowani nastolatkowie, i to obojga płci. A czasem też – w formie psychicznej – ich rodzice. Cała opowieść rozgrywa się w nieco (a może należy napisać „nieco tylko" – zdania są podzielone) przerysowanej wersji współczesnej Korei Południowej, w której szkolna przemoc, nękanie nauczycieli przez rodziców, fałszywe skargi, cyberprzemoc i bezkarność uczniów wymknęły się spod kontroli. W odpowiedzi minister edukacji powołuje specjalne Biuro Ochrony Edukacji, którego inspektorzy – z Na Hwa-jinem na czele – trafiają do najbardziej problematycznych szkół i rozwiązują sprawy, z którymi nie radzą sobie zwykłe procedury. Każdy odcinek koncentruje się zwykle na innym przypadku, widzimy tu przykłady brutalnego bullyingu, cyberprzemocy, nękania nauczycieli przez rodziców i zasypywania ich fałszywymi skargami (w tym fałszywymi oskarżeniami o molestowanie ze strony dziewcząt), korupcji, używek oraz konfliktów wynikających z nierówności społecznych, a sami bohaterowie działają znacznie bardziej zdecydowanie, niż pozwalałaby na to rzeczywistość – sięgają również po przemoc, zastraszanie i publiczne upokorzenie sprawców. Serial nie jest więc realistycznym dramatem pedagogicznym, lecz przede wszystkim fantazją o natychmiastowym wymierzaniu sprawiedliwości: ofiary zostają obronione, winni spektakularnie ukarani, a widz otrzymuje satysfakcję z rozwiązania problemów, które w prawdziwym życiu często pozostają bez odpowiedzi.

Odwrócenie ról

Zanim przejdziemy do opisu społecznej percepcji tej opowieści, cofnijmy się o prawie 30 lat. Mamy rok 1998, Korea od niecałej dekady ulega – dość opornie zresztą – demokratyzacji, a cenzorskie ograniczenia dotyczące kina zostają właśnie bardzo mocno poluzowane. W tej nowej rzeczywistości na ekrany kin trafia szkolny horror „Schody życzeń" (Whispering Corridors) Park Ki-hyunga inaugurujący całą serię opowieści o smutnych duchach dziewcząt przemierzających licealne korytarze. Film wpisuje się w trwającą od niedawna dyskusję o nadużywaniu pozycji autorytetu przez często sięgających po surowe, także cielesne, kary nauczycieli. Pokazano w nim szkołę jako instytucję na swój sposób totalną i był to celowy zabieg – klimatyczna, azjatycka opowieść o duchach od początku miała być głosem w tej narodowej dyskusji i rzeczywiście się nim stała. Film obejrzało wówczas ok. dwóch milionów widzów, w tym kilkaset tysięcy uczniów, którzy po raz pierwszy poczuli, że świat na ekranie został pokazany z ich punktu widzenia. Dorośli widzowie, również krytycy, w tym szkolnym mikrosystemie widzieć chcą też symbol całej odchodzącej autokratycznej Korei. Co ciekawe, również dziś zdarza się publicystom przywoływać film Park Ki-hyunga, jednak czynią to raczej po to, by zadumać się nad tym, jak bardzo zmienił się świat. Od kilku lat coraz głośniej zaczyna się mówić o tym, że wahadło zostało przesunięte w drugą stronę, a szkoła pozbawiła się autorytetu w relacjach z uczniami i rodzicami.

PAŃSTWO PRZYZNAJE SOBIE PRAWO DO UŻYCIA PRZEMOCY. JEJ OBIEKTEM, BEZ ŻADNEJ TARYFY ULGOWEJ, STAJĄ SIĘ ZDEMORALIZOWANI NASTOLATKOWIE.

Więcej niż liczby

W 2024 r. regionalne komisje ochrony praw nauczycieli rozpatrywały 4234 sprawy – 3925 uznano za rzeczywiste naruszenia praw pedagogów. W badaniu 7180 nauczycieli przeprowadzonym wiosną 2026 r. 49,6 proc. deklarowało naruszenie swoich praw przez uczniów, a 47,7 proc. przez rodziców w ciągu poprzedniego roku. Liczba oficjalnych przypadków naruszeń przez rodziców wzrosła ze 116 w 2020 r. do 461 w 2024 r. Najważniejszym wydarzeniem powodującym kontrowersje wokół kierunku zmian była śmierć 23-letniej nauczycielki Szkoły Podstawowej Seoi w Seulu w lipcu 2023 r. Po informacjach o presji i skargach

SZKOLNA PRZEMOC, NĘKANIE NAUCZYCIELI PRZEZ RODZICÓW, FAŁSZYWE SKARGI, CYBERPRZEMOC I BEZKARNOŚĆ UCZNIÓW WYMKNĘŁY SIĘ SPOD KONTROLI.

eprasa.pl 69d0a872dc

ze strony rodziców wybuchły masowe protesty pedagogów – demonstracje liczyły dziesiątki tysięcy osób. We wrześniu 2023 r. parlament przyjął pakiet ustaw wzmacniających ochronę nauczycieli, m.in. ograniczających automatyczne konsekwencje składania przeciwko nim oskarżeń o przemoc wobec dzieci. Problem jednak nie zniknął. W lipcu 2026 r., trzy lata po tragedii, koreańskie związki nauczycielskie nadal twierdziły, że system nie daje realnej ochrony; w jednym z badań tylko 12 proc. nauczycieli oceniało istniejący system ochrony jako skuteczny, a 72 proc. deklarowało, że po naruszeniu ich praw często po prostu znoszą sytuację z obawy przed odwetowymi skargami. Po premierze serialu większość wypowiadających się na jego temat pedagogów stwierdzała, że nie potrzebuje prawa do bicia dzieci, oczekuje jednak rozwiązania prawdziwych problemów pokazanych na ekranie w fikcyjnej opowieści.

WZIĘTO PRAWDZIWĄ EMOCJĘ I REALNE PROBLEMY, PODSUWAJĄC ROZWIĄZANIE, KTÓRE DLA WIELU WYDAJE SIĘ ZBYT DALEKO IDĄCE.

Potrzeba społeczna

Serial budzi oczywiście sprzeciw wielu środowisk. W pewnym sensie można porównać go do głośnego niedawno filmu „Citizen Vigilante": tu również wzięto prawdziwą emocję i realne problemy, podsuwając rozwiązanie, które dla wielu wydaje się zbyt daleko idące. Pewien społeczno-polityczny background jest zresztą pokrewny. Pomysł na serial zaczerpnięto z internetowego komiksu tak niepoprawnego politycznie, że został on w kilku krajach zakazany z powodu rasizmu (twórcy „Dam ci lekcję" nie sięgnęli po najbardziej kontrowersyjne wątki wykorzystania odwróconego rasizmu przez terroryzujących swoje klasy obcokrajowców, w tym czarnoskórych) i już w trakcie produkcji co bardziej liberalne środowiska żądały wstrzymania produkcji. Co więcej, sam reżyser Hong Jong-chan już wcześniej stworzył serial „Juvenile Justice", w którym również nie wykazywał się przyjętą w dzisiejszym świecie dawką empatii dla młodocianych przestępców, czyniąc bohaterką bezkompromisową sędzię i stawiając raczej na karę niż resocjalizację. To oczywiście budziło protesty podobne do tych, które dziś rozbrzmiewają wokół „Dam ci lekcję". Tyle że protesty to jedno, a oglądalność, a co za tym idzie – również zyski, to drugie. Sukces okazał się gigantyczny. Po pierwszych trzech dniach serial miał 6,4 mln wyświetleń, był numerem 1 w Korei i został najpopularniejszym nieanglojęzycznym serialem Netfliksa na świecie. W drugim tygodniu osiągnął aż 21,1 mln wyświetleń tygodniowo, znalazł się w TOP 10 w 91 krajach i był numerem 1 w 46 z nich, m.in. w Korei, Japonii i Singapurze. Przez cztery kolejne tygodnie pozostawał globalnym numerem 1 w kategorii seriali nieanglojęzycznych. Po niecałym miesiącu „Dam ci lekcję" miał już 48,2 mln wyświetleń, po kwartale 63,4 mln wyświetleń i 677,5 mln obejrzanych godzin, co daje serialowi 10. miejsce w historii Netfliksa wśród wszystkich produkcji nieanglojęzycznych. W Polsce także był dużym hitem. W tygodniu 8–14 czerwca zajmował 4. miejsce w TOP 10 seriali Netfliksa, a na Filmwebie uzyskał ocenę ok. 8,0 na 10 przy ponad 2,7 tys. ocen, co jak na świeżą koreańską produkcję jest bardzo mocnym wynikiem. Coś jest więc na rzeczy.

W sierpniu „Super Express" opublikował na YouTubie rozmowę Joanny Miziołek i Grzegorza Jankowskiego z chodzącym własnymi ścieżkami posłem i nauczycielem Marcinem Józefaciukiem. Polityk tak naprawdę wyborcom dał się poznać dopiero wówczas, gdy przestał być ograniczany gorsetem przynależności do klubu parlamentarnego KO. W rozmowie Józefaciuk zwraca uwagę na roszczeniowe postawy rodziców, częste branie ich strony bez namysłu przez instytucje i zachwianie równowagi na korzyść uczniów. Postuluje powołanie rzecznika praw nauczycieli, co wpisuje się w polityczne dyskusje i pomysły, które we własnym kraju wywołał koreański serial. Tylko czy mamy na to w tej chwili klimat polityczny?

WAHADŁO PRZESUNĘŁO SIĘ W DRUGĄ STRONĘ, A SZKOŁA POZBAWIŁA SIĘ AUTORYTETU W RELACJACH Z UCZNIAMI I RODZICAMI.

eprasa.pl 69d0a872dc

Stronnicy chamówy

Jan Wróbel

Obejrzałem parę dni temu TVP INFO. Wiadomości smutne (wypadek autokaru na Węgrzech) , wesołe (wyścig osłów w Pakistanie) i lokalne oraz wiadomość szczególnej troski. Taka z grafikami, omawianymi przez dziennikarza na stojąco, w atmosferze wykładu o szczególnym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa i obywateli. Gdzie, kiedy i jak ukrywa(ł) się Michał Romanowski. Dwa razy widziano go w Serbii! Gdzie i kiedy przemyka(ł) Zbigniew Ziobro. I na dokładkę, jak to jest z sędzią Szmydtem na Białorusi.

A przy nazwisku Romanowskiego złowroga etykietka: „Numerariusz Opus Dei".

Czyli tzw. chamówa. Wrzucanie do jednego worka sędziego, który stał się (okazał się?) agentem obcego państwa i dwóch polityków, którzy kryją się przed procesem. Jeden z nich, jak się zdaje, ostatecznie wylądował w kraiku będącym de facto rosyjską prowincją. Chwały mu to nie przynosi, to oczywiste. Za to dało rządowej telewizji okazję do zbudowania propagandowego przekazu – oho, ludzie Ziobry + Rosja = wesele. I jeszcze to „Opus Dei"... Informacja niemająca żadnego związku z ucieczką byłego wiceministra, ale dodająca filmowego smaczku. Tajne sprzysiężenie, czarna mafia, prawica... I gdzieś tam Ziobro złowrogi...

Cóż, gdyby Opus Dei rzeczywiście miało rozległe acz tajne macki, to Romanowski nie musiałby chyba szukać ratunku w Tyraspolu. Tylko że logika nie jest w tej narracji priorytetem. Priorytetem jest służba rządowi. Rządowi naszemu kochanemu, który walecznie broni nas przed sprzysiężeniem Opus PiS.

Sprawa telewizji publicznej, a już szczególnie TVP Info, podnoszona była w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy przez pokaźne grono publicystów. Co ważne, całkiem wielu z nich miało sympatie prawicowe. Starali się publicznie, a nieraz mniej publiczne, uruchomić w PiS jakieś podstawowe pokłady wrażliwości naprawdę. TVP Info waliło wówczas chamówę za chamówą i było wręcz komicznym przykładem dna, do jakiego można zejść, realizując projekt medium zaangażowanego. Nic jednak te interwencje nie dawały. Ci, którzy zgadzali się, że Info to wstyd, dziwnym trafem nie mieli nic do powiedzenia. A jak mieli, to zrobili sobie lobotomię mózgu i zaczęli uważać, że „mądrość etapu" wymaga udawania, że wszystko jest OK. Podobnie robią dzisiaj tuskowcy. I szafa gra.

Byłoby dobrze, gdyby PiS piętnowało manipulacje nowych władz telewizji. Cóż jednak począć z faktem, że trudno byłoby o śmieszniejszą scenę niż z pisowcami załamującymi ręce nad stronniczością mediów publicznych. Przecież oni uwielbiają stronniczość. Tylko dobrą, pisowską.

PRIORYTETEM JEST SŁUŻBA RZĄDOWI. RZĄDOWI NASZEMU KOCHANEMU, KTÓRY WALECZNIE BRONI NAS PRZED SPRZYSIĘŻENIEM OPUS PiS.

Istnieje od paru tygodni drugie PiS, to Morawieckiego. Hipotetycznie stwarza to możliwość zbudowania prawicy, która nie chce, by chamówa była standardem „informacyjnym". A może jednak już wszyscy taką rzeczywistość polubiliśmy i nie ma się co wygłupiać.

eprasa.pl 69d0a872dc

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

W latach 90. sekty budziły w Polsce jednocześnie grozę i ogromne zainteresowanie. Były zjawiskiem wciąż słabo rozpoznanym, a wokół ich działalności narosło wiele mitów. Jedną z najbardziej ekstremalnych była sekta „Niebo”, założona i kierowana przez Bogdana Kacmajora, z siedzibą w Majdanie Kozłowieckim. W 2000 roku wspólnota chyliła się już ku upadkowi, ale wcześniej zdążyła zrujnować życie wielu swoim członkom. Jej działalność opisał w reportażu opublikowanym w **nr. 27 (616) 7 lipca 2000 roku** na łamach „Tygodnika Solidarność” Maciej Piotrowski. Przypominamy ten tekst z okazji 45-lecia naszego pisma.

Ofiary Kacmajora

Maciej Piotrowski

Zwłoki zostały odkryte przypadkowo przez robotników leśnych, daleko od szosy. Zmarły był mężczyzną w średnim wieku, o długich, ciemnych włosach. Przed śmiercią nosił brodę, co dodatkowo utrudniało identyfikację. Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów, natomiast w zasięgu ręki znajdował się nóż z wysuwanym ostrzem, w rodzaju tych, jakich używa się do cięcia wykładzin podłogowych. Nóż był bardzo ostry: tętnica szyjna zmarłego została przecięta jednym długim, zdecydowanym cięciem. Zgon musiał nastąpić w ciągu kilkudziesięciu sekund.

Przez ponad miesiąc wszystko wskazywało na to, że zmarłym, znalezionym w lesie koło Lubartowa, mógł być Zbigniew Sajnóg, znany gdański poeta, który kilka lat temu związał się z sektą „Niebo” Bogdana Kacmajora. Dwukrotne badania daktyloskopijne wykluczyły jednak tę możliwość: samobójcą okazał się Bogusław Popławski, 36-letni członek tej samej sekty.

Antychryści

Bogusław Popławski, członek „Nieba” od samego początku istnienia sekty, był jednym z najwierniejszych wyznawców Kacmajora. Czy to możliwe, że guru wyrzucił go z domu jak psa, gdy 18 maja Popławski wyszedł bez środków do życia z aresztu?

Dom sekty w Majdanie Kozłowieckim nie zmienił się ani trochę w ciągu dziesięciu lat. Za to zmieniło się otoczenie: duży dwupiętrowy budynek tonie w zieleni drzew. Działka nie jest ogrodzona, co zawsze myliło obcych. Gdy byłem tu po raz pierwszy, kilka lat temu, jedyne słowa, jakie wówczas usłyszałem, brzmiały:

– To jest prywatny teren – spier...!

Trzej młodzi mężczyźni wyglądali naprawdę groźnie. Z budynku wyskakiwali już następni. A przecież na szosie, tuż koło domu, stał oznakowany policyjny radiowóz. Dwaj policjanci, z którymi przyjechałem,wyglądali na zdenerwowanych. W razie czego nie daliby rady kilkunastu zdesperowanym, gotowym na wszystko mężczyznom. Wycofaliśmy się.

Dziś, jeśli policjanci się nie mylą, mieszka w tym domu już tylko sam guru z żoną i dziećmi. Czy w ogóle zechce rozmawiać z dziennikarzem, który śledzi jego losy od tylu lat? Przez kilka minut pukam do drzwi, stukam w szyby, w końcu walę metalowym garnkiem o parapet. Hałas słychać chyba na kilkaset metrów. Żadnej reakcji. Ale tak było zawsze: gdy nadjeżdżali obcy, mieszkańcy tego domu zamykali na klucz wszystkie drzwi, chowali się na piętrze i czekali, aż nieproszeni goście zmęczą się kołataniem i odjadą. W ten sposób postępowano z listonoszami, którzy przywozili wezwania do sądu, z urzędniczkami kuratorium domagającymi się, aby dzieci chodziły do szkoły, z pielęgniarkami, które chciały wykonać obowiązkowe szczepienia. Kilka razy

trzeba było te drzwi wyłamywać siłą. Policjanci wkraczali, gdy na mieszkańcach zaczęły ciążyć wyroki za kradzież drewna z lasu, za włamania do sklepów, za uchylanie się od służby wojskowej.

– To były trudne akcje – wspomina podkom. Antoni Marczuk z Lubartowa. – Najpierw trzeba było

eprasa.pl 69d0a872dc

Tydzień w historii Polski 1960 r.

Ofiary Kacmajora

Antychrystus

„Jan III Sobieski" tylko z Żyrardowa!

Żyrardowskie Zakłady Przemysłu Spirytusowego Polmos w Żyrardowie informują, że są jedynym legalnym producentem, który nabył prawo do wytwarzania produktu oznaczonego znakiem towarowym „Jan III Sobieski".

Polmos Żyrardów posiada zezwolenie właściciela znaku towarowego „Jan III Sobieski" — BAT Group Poland Sp. z o.o.

Oświadczamy, że nieprawdziwe są rozpowszechniane przez Spółkę Belvedere Dystrybucja wiadomości, jakoby nasz produkt był nielegalny. Odbieramy to jako czynność nieuczciwej konkurencji.

Sąd Okręgowy w Łodzi orzeczeniem z 7.09.1999 r. nakazał Polmosowi Sieradz i Spółce Belvedere zaniechania wódki do butelek oznaczonych znakiem towarowym „Jan III Sobieski" i wprowadzania do obrotu gospodarczego. Mimo to Belvedere Group nie zaprzestał nieuczciwej konkurencji, co zmusza nas do podjęcia kolejnych kroków prawnych.

Zarządca Kamienicy Żyrardowskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego Polmos w Żyrardowie

Jerzy Wódz

Jan III Sobieski

14

REPORTAŻ

Zwłoki zostały odkryte przypadkowo przez robotników leśnych, daleko od szosy. Zmarły był mężczyzną w średnim wieku, o długich, ciemnych włosach. Przed śmiercią nosił brodę, co dodatkowo utrudniało identyfikację. Nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów, natomiast w zasięgu ręki znajdował się nóż z wysuwanym ostrzem, w rodzaju tych, jakich używa się do cięcia wykładzin podłogowych. Nóż był bardzo ostry: tętnica szyjna zmarłego została przecięta jednym długim, zdecydowanym cięciem. Zgon musiał nastąpić w ciągu kilkudziesięciu sekund.

Dużo strzał w kołczanie

Gdzie jest Sajnuq?

MACIEJ PIOTROWSKI

15

obstawić tyralierą cały teren, bo podejrzani uciekali do tego lasu jak zające. Brało w tym udział 20–30 funkcjonariuszy, posiłki trzeba było sprowadzać aż z Lublina.

Nareszcie: w jednym z okien pojawia się czyjaś twarz, słychać głosy dzieci. Schodami z I piętra schodzi Bogdan Kacmajor, trzymając w ręku niedopitą szklankę herbaty. Herbata jest ciemnobrunatna, bardzo mocna. W zakładach karnych więźniowie oszałamiają się takim wywarem jak alkoholem.

Bogdan Kacmajor jest niewysokim, szczupłym mężczyzną. Ma 46 lat i na tyle wygląda: ciemna, krótka broda, krótko ostrzyżone, siwiejące na skroniach włosy. Gdy mówi, widać zniszczone, brązowe od papierosów zęby.

– Ale ja nie udzielam żadnych wywiadów – mówi od razu, gdy przedstawiam się.

– Przyjechałem specjalnie po to, aby poinformować pana o tym, że zidentyfikowano zwłoki Bogusława Popławskiego – mówię.

– Czy to już pewne? – pyta mimochodem, jakby ta wiadomość nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. A powinna.

– W gazecie podali, że był członkiem pańskiej sekty.

– Jakiej sekty? – protestuje – mieszkamy tu sobie spokojnie z żoną i dziećmi. Czy pan tu widzi jakąś sektę? Nie rozmawiałem z Popławskim od paru miesięcy. Nie wiem, co ostatnio robił, w ogóle nie miałem z nim żadnego kontaktu. – Bogdan Kacmajor prawdopodobnie kłamie w żywe oczy, tak jak kłamał od chwili rozpoczęcia swojej działalności kilkanaście lat temu. Ale przez cały ten czas bardzo trudno było mu to udowodnić.

W końcu lat 80. rozwiódł się z pierwszą żoną, sprzedał dom w Morągu i kupił ziemię pod Lubartowem, tuż koło lasu. Ponad 20 hektarów. Dom zbudowano w ciągu kilku miesięcy, a więc bardzo szybko jak na ówczesne warunki. Miejscowi urzędnicy załatwiali mu przydziały na materiały budowlane, a Kacmajor leczył ich za to „nakładaniem rąk". Gdy dom był już gotowy i zaludnił się członkami sekty, przez dwa-trzy lata kontakty z mieszkańcami wsi układały się

eprasa.pl 69d0a872dc

poprawnie. Niektórzy członkowie sekty, rolnicy po studiach, założyli inspekty, siali zboże, grykę, sadzili ziemniaki. Ale po kilku latach znudziłą się ta działalność, pole zarosło zielskiem. Mieszkańców wsi zaczęło denerwować to nieróbstwo, bo zimą ktoś podkradał kury z kurników, ginęły ziemniaki z kopców i warzywa przechowywane w piwniczkach. A Kacmajor, tak jak przedtem chętnie leczył, tak teraz chodził po wsi, strzelał palcami i groził:

– Ty masz chorobę – umrzesz na raka albo na marskość wątroby.

Rzucał uroki, zastraszał ludzi, którzy bali się zgłaszać na niego skargi policji.

Miarka przebrała się, gdy cztonkowie sekty zaczęli naigrawać się z religii. W dzień Matki Boskiej Zielnej szła przez wieś procesja na poświęcenie pól, a członkowie sekty wykrzykiwali wtedy nieprzyzwoitre słowa i beczeli jak barany. Gdy umarł jeden z gospodarzy, wystawili przy drodze podobną do niego kukłę z napisem: „On nie chciał się z nami bawić”. Wtedy taka złość wstąpiła w mieszkańców, że gotowi byli siłą wygonić sektę ze wsi. Ale tych „antychrystów” ciągle przybywało, a jednemu z gospodarzy grożono nawet podpaleniem domu, jeśli nie przestanie pisać skarg do urzędów. Co najmniej przez pięć-sześć lat trwał ten stan chwiejnej, nienawistnej równowagi.

Dużo strzał w kołczanie

W 1995 w sekcie nastąpił rozłam. Andrzej Ilski, jeden z najwcześniejszych wyznawców „Nieba”, przekonał się, że Bogdan Kacmajor zużywa na własne potrzeby pieniądze wnoszone do Wspólnoty przez jej członków. Zabrał z sekty żonę Bożenę, dwu adoptowanych synów i jeszcze kilka osób i przeniósł się z nimi do wsi Jakubowskie, koło Bielska Podlaskiego. Żyją tam do dzisiaj w wynajętej chałupie, nie kontaktując się w ogóle z sąsiadami. Podobno przymierają głodem, chorują. Wszystko wskazuje na to, że także i ten odłam sekty niebawem przestanie istnieć.

Ewa W., siostra Andrzeja Ilskiego, została 5 lat temu przy Kacmajorze. Gdy parę lat wcześniej porzuciła męża, mieszkańca Opola, uciekła do sekty wraz z dwojgiem dzieci. W Majdanie Kozłowieckim urodziła jeszcze trzecie dziecko, którego ojcem był 14-letni chłopiec. Tak kazał Kacmajor. Gdy tylko w sekcie pojawiał się młody chłopak, przydzielał mu starszą kobietę i mówił:

– Masz z nią spać!

A do kobiety:

– Ten będzie twoim mężem!

Dzięki takiej polityce w sekcie urodziło się co najmniej kilkanaście dzieci. Ile dokładnie – nie wie nikt. Nawet Urząd Stanu Cywilnego w Lubartowie. Urodzenia dzieci zgłaszano przecież z wieloletnim nieraz opóźnieniem, a i to tylko wtedy, gdy za niedopełnienie obowiązku meldunkowego rodzicom groziła odsiadka w areszcie.

Gdy Henryk W. wystąpił do sądu o pozbawienie byłej żony władzy rodzicielskiej, Ewa W. przez kilka lat ukrywa synów. To w Jakubowskiem, to w Majdanie Kozłowieckim w specjalnie zbudowanym schowku, to u znajomych w centralnej Polsce. Henryk W. wyjechał do Niemiec, żeby, jak mówił, zarobić na adwokata. Po paru latach tej szarpaniny nie wytrzymał jednak psychicznie i rzucił się z balkonu. Zginął na miejscu.

Po schodach zbiega z góry wysoki, szczupły dziesięciolatek, podobny do ojca jak dwie krople wody. Nazywa się „Do” i jeszcze nie rozumie, że takie imię będzie go ośmieszało do końca życia. Za nim następne dzieci, wszystkie urodzone już tutaj, w Majdanie Kozłowieckim, i wszystkie obdarzone podobnie cudacznymi imionami. Porody odbierał osobiście Bogdan Kacmajor. Przez wszystkie te lata ani razu nie zgodził się na przyjazd lekarza czy choćby położnej. Gdy kobiety bardzo krzyczały, mówił, że przejmuje ich ból na siebie. Gdy dzieci chorowały, twierdził, że to ich wina, że muszą cierpieć. Przez parę lat w „Niebie” rodzili się sami niemal chłopcy, aż mieszkańcy wsi zaczęli podejrzewać, że nowo narodzone dziewczynki sprzedawane są gdzieś za granicę. Ale to się nie potwierdziło. Podobnie, jak nie potwierdziły się pogłoski, że kilku członków sekty zmarło w tym domu i zostało potajemnie pochowanych gdzieś na terenie gospodarstwa. Aby to sprawdzić,

W 1995 W SEKCIE NASTĄPIŁ ROZŁAM. ANDRZEJ ILSKI, JEDEN Z NAJWCZEŚNIEJSZYCH WYZNAWCÓW „NIEBA”, PRZEKONAŁ SIĘ, ŻE BOGDAN KACMAJOR ZUŻYWA NA WŁASNE POTRZEBY PIENIĄDZE WNOSZONE DO WSPÓLNOTY PRZEZ JEJ CZŁONKÓW.

eprasa.pl 69d0a872dc

policja sprowadziła kamerę termowizyjną. Nic nie wykryto.

– Ile pan w końcu ma dzieci – pytam – bo urzędnicy w Lubartowie wiedzą tylko o czworgu?
– Siedem – odpowiada Bogdan Kacmajor – ósme jest w drodze, a razem będzie dziewięć. I jeszcze dużo strzał mam w kołczanie.

Jest na luzie, gestykuluje obiema rękami, przestępuje z nogi na nogę, akcentując niektóre słowa. Zupełnie nie widać, aby ciążyły mu na sumieniu ludzkie dramaty, jakie rozgrywały się w tym domu. Przecież nawet rodzice Bogusława Popławskiego przyjechali tu kiedyś ze swojej wsi, aby walczyć o syna jedynaka. Nic nie zdziałali. Pierwsza żona Kacmajora, Małgorzata, przez sześć lat nie widziała ich pierworodnego syna Daniela, który był ukrywany w sekcie. Wynajęła nawet prywatnego detektywa, który po kilku tygodniach pracy rozłożył ręce:
– Tam nikt nie ma dokumentów, dzieci są uczone od najmłodszych lat, jak zacierać tożsamość, a wszyscy dorośli zgodnie twierdzą, że nie wiedzą, kto jest matką, kto ojcem.

Katarzyna spod Opola odeszła z sekty z czwórką dzieci, każde od innego ojca. Nie ma zawodu, mieszka z rodzicami, w telewizyjnej audycji skarżyła się, że sekta zabrała jej najlepsze lata życia.

Dziewczyna z Jeleniej Góry o rzadkim imieniu Lutona, bardzo ładna, z niemal ukończonym doktoratem, znalazła się w sekcie z powodu męża. Musiała go bardzo kochać, skoro wytrzymała kilka lat takiego życia. W 1998 roku napisała list pożegnalny, spakowała swój plecaczek i pojechała autobusem do Lublina. Rzuciła się z XII piętra wieżowca koło KUL-u, chyba najwyższego w mieście. Przez długi czas figurowała w kartotekach jako NN. Jej mąż pod wpływem Kacmajora przez kilka tygodni nie zgłaszał jej zaginięcia .

Janusz Ochnik, zabójca czterech żołnierzy z jednostki wojskowej w Zegrzu, z trudem uniknął śmierci. Sądowy psychiatra skierował go na obserwację do szpitala w Abramowicach pod Lublinem. Tam poznał Kacmajora, również przebywającego na obserwacji. Po paru tygodniach Ochnik uciekł ze szpitala i ukrywał się w „Niebie" przez kilka miesięcy. Kacmajor polecił wybudować dla niego specjalny schowek ze ślepą ścianą, do którego Ochnik chował się za każdym razem, gdy przyjeżdżała policja. Ale przechowywanie zbiega z zakładu psychiatrycznego, w dodatku poszukiwanego listem gończym, to nie był dobry interes. Wprost przeciwnie: trzeba go było karmić i ubierać, bo nie miał przecież żadnych własnych pieniędzy. Zimą 1994 Bogdan Kacmajor pokazał mu drzwi. Ochnik błąkał się przez dwie doby, zanim zdecydował się poprosić o pomoc w sąsiedniej wsi. Gdy dostał coś ciepłego do picia, zemdlał z wyczerpania.

– Z czego pan teraz żyje? – pytam Kacmajora na pożegnanie.

– Z pracy rąk – uśmiecha się szeroko, jakby powiedział najlepszy dowcip. Podobno jeździ gdzieś na Ukrainę, podobno leczy tam ludzi przez „nakładanie rąk", podobno otrzymuje z zagranicy paczki z żywnością.

– Już niebawem, zapowiada, sprzedamy ten dom i przeniesiemy się gdzieś w góry – mówi. – I wtedy jeśli pan chce do nas przyjechać prywatnie, nie jako dziennikarz – zapraszam. Porozmawiamy o życiu. Może zajmiemy się pańskim sercem? Albo wątrobą? A nie ma pan przypadkiem kłopotów z nogami?

Gdzie jest Sajnóg?

Jeśli chodzi o Zbigniewa Sajnóga, Bogdan Kacmajor oczywiście od dawna o nim nie słyszał. Nawet nie wiedział, że wiosną tego roku siedział z powodu drobnej kradzieży przez kilka tygodni w areszcie razem z Popławskim.
– Pewnie krąży gdzieś po Polsce, jak to miał w zwyczaju przez tyle lat. Albo siedzi gdzieś za granicą. Przecież tu, w Majdanie, on bywał tylko przejazdem – mówi z naciskiem Kacmajor.

Obaj wiemy, że to nieprawda. I obaj wiemy, że po rozwiązaniu sekty Sajnóg pozostał właściwie bez środków do życia. Jeżeli jeszcze żyje, może odezwie się po przeczytaniu tego artykułu. Może odezwą się jego znajomi. Przecież nie można dłużej przemilczać faktu, że zaginął jeden z najwybitniejszych poetów swojego pokolenia.

TAM NIKT NIE MA DOKUMENTÓW, DZIECI SĄ UCZONE OD NAJMŁODSZYCH LAT, JAK ZACIERAĆ TOŻSAMOŚĆ, A WSZYSCY DOROŚLI ZGODNIE TWIERDZĄ, ŻE NIE WIEDZĄ, KTO JEST MATKĄ, KTO OJCEM.

eprasa.pl 69d0a872dc

Tusk ciągle MUSI

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Premier zaciągnął **zbyt wiele zobowiązań**, by mógł nagle odpuścić. Jest zakładnikiem silnych lobby, które domagają się zaciekłej walki o następną kadencję. Bez względu na koszty.

Mariusz Staniszewski

Tusk ma dość, już mu się nie chce, nie ma pomysłu na to, jak dalej rządzić – media są zalewane takimi opiniami. Tajemne źródła podsycają atmosferę upadku, dekadencji i rezygnacji, jaka ma panować na szczytach władzy Koalicji Obywatelskiej, a zwłaszcza w głowie jej lidera.

Tak naprawdę jednak nic dziś nie wskazuje na to, by Donald Tusk zamierzał odpuścić rządzenie. Stara się raczej konsolidować obóz rządzący, by wyborcy mogli głosować albo na niego, albo na obrzydzaną prawicę.

Oczywiście może szykować dla siebie jakąś ratunkową szalupę, która pozwoli mu uniknąć więzienia za permanentne i bezprecedensowe łamanie prawa, ale przecież nie oznacza to szybkiej rejterady. Szef rządu nie reprezentuje przecież tylko siebie, ale przede wszystkim interesy potężnych grup, które wyniosły go do władzy.

Zakładnik Niemiec

Berlin wiele zainwestował w to, by Donald Tusk ponownie został premierem Rzeczpospolitej. To stamtąd płynęły sygnały, by UE blokowała Polsce pieniądze z KPO, współpracujące z rządem federalnym organizacje ekologiczne angażowały się w blokowanie infrastrukturalnych inwestycji, a tamtejsze media prześcigały się w kłamstwach na temat rządów prawicy w Polsce. Tusk jako prze-

eprasa.pl 69d0a872dc

wodniczący Rady Europejskiej był częstym gościem w Urzędzie Kanclerskim, gdzie odbierał dokładne instrukcje od Angeli Merkel. Pozostawał więc w pełni dyspozycyjny.

Politycy w Berlinie szybko dostrzegli, że pod rządami prawicy Polska nie tylko rozwija się szybko, ale ma ambicje konkurowania w regionie z Niemcami. Takie konsekwencje przyniosłyby przecież budowa CPK, elektrowni atomowych czy rozwój portów.

Tusk zablokował te inwestycje od razu po objęciu władzy, by następnie przez dwa i pół roku pozorować, że jednak zamierza budować. Z drugiej strony musiał zadbać o to, by przeżywająca kryzys niemiecka gospodarka dostała spory zastrzyk pieniędzy. Stąd przecież takie parcie, by podpisać SAFE – Berlin uznał, że jest niezgodny z unijnymi traktatami, ale tamtejszy rząd otwarcie przyznaje, iż niemiecki przemysł skorzysta na tym programie – czy forsowanie rozwoju farm wiatrowych.

W tej sytuacji Tusk nie może po prostu sobie odpuścić i powiedzieć pas. Zobowiązania, które zaciągnął, są długoterminowe. To dzięki wsparciu Niemiec otrzymał przecież wysokie stanowisko w UE i dziś dostaje kilkadziesiąt tysięcy złotych emerytury miesięcznie. Tylko Berlin może mu także zagwarantować bezkarność po ewentualnie przegranych wyborach.

Konieczna kontynuacja

Na samym Tusku ta historia się jednak nie kończy. Jest on coraz starszy i mniej perspektywiczny, musi więc zapewnić ciągłość proniemieckiej polityki. Bez równie serwilistycznie nastawionych następców Polska może dość szybko wyrwać się z orbity wpływów niemieckich i silniej kierować swoje zainteresowanie za ocean.

Dla każdego kanclerza – bez względu, z jakiej formacji by nie pochodził – scenariusz taki jest niebezpieczny, gdyż bliskie relacje polsko-amerykańskie powodują zwiększenie podmiotowości Warszawy. Berlin zaś od wieków zabiega o to, by obszar między nim a Moskwą pozostawał strefami wpływów Rosji i Niemiec. Silna gospodarczo i militarnie Polska, do tego ze wsparciem USA, zdecydowanie zaburzyłaby ten plan.

Dlatego na szczytach władzy KO muszą pojawiać się młodzi politycy zapewniający ciągłość uległej wobec Niemiec polityki. Stąd oszałamiająca kariera Magdaleny Sobkowiak-Czarneckiej, której fundacja jest wprost finansowana przez Niemcy, silna pozycja Cezarego Tomczyka czy trzymanie w ciągłym odwodzie Radosława Sikorskiego. Ten ostatni próbował nawet udowadniać, że jest bardziej proniemiecki niż Tusk, ale jego pozycja pozostaje słaba. Z powodu arogancji jest nielubiany w partii, a ostentacyjna służalczość wobec polityków z Berlina wywołuje u nich całkowity brak szacunku.

Niemcy pozwolą więc Tuskowi odejść dopiero wtedy, gdy wykształci następców w pełni dyspozycyjnych wobec zachodniego sąsiada.

BERLIN WIELE ZAINWESTOWAŁ W TO, BY DONALD TUSK PONOWNIE ZOSTAŁ PREMIEREM RZECZPOSPOLITEJ.

Zaplecze służb

Bandyckie metody sprawowania władzy przez obecnego premiera – które zresztą są kontynuacją jego polityki z lat 2007–2014 – pokazują, że znajduje się on pod silnym wpływem komunistycznych i postkomunistycznych służb specjalnych. Nie przez przypadek jedną z pierwszych decyzji jego gabinetu było przywrócenie wysokich emerytur dawnym ubekom i esbekom.

Ceną za wsparcie ze strony tych ludzi w kampanii wyborczej oraz w pierwszym okresie rządzenia jest usadowienie ich w wielu spółkach Skarbu Państwa. Dziś znaczna część firm kontrolowanych przez rząd jest obsadzona ludźmi związanymi z Bartłomiejem Sienkiewiczem, który był i jest ogniwem łączącym Donalda Tuska z oficerami dawnego Urzędu Ochrony Państwa.

Oni po latach odstawienia na boczny tor – przynajmniej częściowego – nie są skorzy do rezygnacji z wysokich apanaży. Gwarantem ich interesów jest właśnie układ związany z obecnym premierem.

Teoretycznie byliby w stanie uzależnić od siebie każdego kolejnego szefa rządu, ale nie jest tajemnicą, że Donald Tusk równie silnego następcy nie wykreował. Przez dwie dekady dbał o to, by właśnie taki delfin się nie pojawiał. Wycinał każdego, kto zgłaszał podobne ambicje. W efekcie stał się niezastępowalny. Przez lata było to gwarancją bezpieczeństwa lidera KO, teraz jednak jest również obciążeniem. Nie może tak po prostu odejść i zostawić ludzi służb na pastwę prawicy.

Musi trwać do końca kadencji i robić wszystko, by przedłużyć rządy o kolejne cztery lata. Nawet jeśli dziś wydaje się to mało

eprasa.pl 69d0a872dc

prawdopodobne, to przecież nie jest niemożliwe.

Ostatnia deska ratunku

Dlatego szef rządu tak mocno naciska w sprawie stworzenia wspólnej listy wszystkich ugrupowań tworzących obecnie koalicję rządową. Choć na razie Nowa Lewica i Polskie Stronnictwo Ludowe nie chcą na to przystać, to przecież ciągle jest to scenariusz możliwy. Co więcej, będzie się stawał coraz bardziej prawdopodobny wraz z upływem czasu. Im bliższa będzie wizja oddania władzy i pociągnięcia do odpowiedzialności za bezprecedensowe łamanie prawa, tym słabszy będzie opór przed konsolidacją.

Liderzy satelickich partii także mają swoje zobowiązania – wobec działaczy, ale też zaplecza – więc znajdą się pod rosnącą presją partyjnych dołów. Groźba utraty stanowisk, przesłuchań, prokuratorskich zarzutów i wreszcie odsiadki nie jest dziś wyłącznie publicystycznym hasłem, a raczej prawdopodobną przyszłością wielu aparatczyków, którzy zaangażowali się w tuskowy aparat władzy. Od mediów publicznych, przez służby specjalne, prokuraturę i urzędników podpisujących nielegalne decyzje, po menedżerów podejmujących szkodliwe dla państwowych firm decyzje.

Wielu z nich uwierzyło, że obecny premier będzie niepokonany i w jego imieniu dopuszczało się wyjątkowych świństw oraz okrucieństw. Tusk nie może ich tak po prostu zostawić, gdyż sfrustrowani i zdradzeni będą skorzy do ujawnienia kulisów podejmowanych decyzji. To zaś może zaprowadzić przed prokuraturę wielu prominentów obecnej władzy.

Już dziś widać, że rządzący nie są w stanie utrzymać w tajemnicy własnych nadużyć i nieprawidłowości. Nie udało się szefom służb i prokuratorom spacyfikować wewnętrznego oporu, jak zamierzali to zrobić na początku kadencji. Oddanie władzy spowoduje więc prawdziwą erupcję materiałów kompromitujących Tuska, jego ministrów i pretorianów. Groźba jest na tyle realna, że liderowi KO może nie pomóc nawet ucieczka na stanowisko w Brukseli. Nawet jeśli nie dopadnie go tam polski wymiar sprawiedliwości, to może zostać doszczętnie skompromitowany. Wtedy stanie się jedynie obciążeniem dla unijnych elit.

DONALD TUSK NIE WYKREOWAŁ SILNEGO NASTĘPCY. PRZEZ DWIE DEKADY DBAŁ O TO, BY WŁAŚNIE TAKI DELFIN SIĘ NIE POJAWIŁ.

LIDER KO NIE MOŻE TAK PO PROSTU ODEJŚĆ I ZOSTAWIĆ LUDZI SŁUŻB NA PASTWĘ PRAWICY.

Nadzieja salonu

Lider obozu rządzącego co prawda wiele razy zawiódł liberalne elity, które domagały się od niego przeprowadzenia szeroko zakrojonej rewolucji społeczno-obyczajowej, ale przecież na horyzoncie nie widać nikogo, kto realnie mógłby Tuska zastąpić. Eksperyment z 2014 roku, gdy na czele rządu stanęła niezbyt lotna Ewa Kopacz, doprowadził Platformę Obywatelską do katastrofy, a wspierające ją media, pracowników uniwersyteckich, artystów i celebrytów do rozpaczy.

Nie polegała ona tylko na utracie dochodów, ale w równej mierze na upokorzeniu. Dla ludzi przyzwyczajonych do splendoru w czasach komunizmu oraz pierwszych dekadach III RP pojawienie się na salonach osób o prawicowych poglądach było obrazem upadku. Nie tylko musieli z nimi negocjować, ale z przerażeniem patrzyli, jak kalana jest pamięć budowniczych Polski Ludowej i ludzi honoru z okrągłego stołu.

Choć sam Tusk osobiście raczej gardzi ludźmi sztuki i jajogłowymi – co wielokrotnie okazywał – to jednak dla nich jest on ostatnią nadzieją. Wiele wskazuje na to, że po zmianie władzy – jeśli do niej dojdzie – prawica nie będzie już zabiegała o względy salonu. Bardziej prawdopodobne jest, że zechce wziąć rewanż za frontalny atak, który nastąpił przed wyborami w 2023 roku. Po 2027 roku mogą więc zmienić się warunki przyznawania grantów i dotacji, co znacząco uderzy w najwierniejszych sympatyków obecnej ekipy rządzącej.

Rejterada Tuska byłaby dla nich zdradą, a oni doskonale potrafią odgrywać rolę oszukanych.

Autor jest redaktorem naczelnym serwisu wGospodarce.pl

eprasa.pl 69d0a872dc

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Czy państwo dostrzeże krwiodawców?

Zwykliśmy mówić, że krew jest bezcenna. I słusznie. Nie da się jej wytworzyć ani kupić. Nieustannie jej brakuje, choć przecież ratuje życie. Problem w tym, że państwo zachowuje się czasem tak, jakby tego nie zauważało i nie robi praktycznie nic, by zachęcać do oddawania krwi.

Honorowe krwiodawstwo jest jedną z najczystszych form społecznej solidarności. Dawca zazwyczaj nie wie, do kogo trafi jego krew. Nie pozna człowieka, któremu być może uratuje życie, ani nie usłyszy podziękowania. Oddaje coś swojego zupełnie obcemu człowiekowi i nie oczekuje zapłaty. Niestety, państwo, choć wiele mówi, praktycznie nie wspiera krwiodawców.

Oczywiście, dawcy otrzymują pewne uprawnienia. Są dni wolne związane z oddaniem krwi, ulga podatkowa, posiłek regeneracyjny, a zasłużeni honorowi dawcy mogą korzystać z dodatkowych przywilejów. W niektórych miastach przysługują im również preferencje albo bezpłatne przejazdy komunikacją miejską. Wszystko to jest potrzebne. Problem w tym, że nie dotyczy to kolei.

Przez pewien czas honorowi dawcy krwi mogli korzystać z 33-procentowej ulgi na przejazdy kolejowe i autobusowe. Było to jednak rozwiązanie związane z epidemią koronawirusa, a nie trwały element systemu wspierania krwiodawstwa. Wraz z zakończeniem szczególnych regulacji epidemicznych, kilka lat temu zniknęła ta preferencja.

W Polsce istnieje rozbudowany system ustawowych ulg komunikacyjnych. Korzystają z niego różne grupy społeczne i zawodowe. Są np. emeryci, osoby niepełnosprawne, studenci, doktoranci, nauczyciele, kombatanci, opozycjoniści, ale krwiodawców nie ma. Nie odbieram żadnej z przywołanych grup prawa do zniżek. Państwo poprzez ulgi realizuje określoną politykę społeczną. Skoro jednak tak, to trudno zrozumieć, dlaczego w tym systemie nie znalazło trwałego miejsca dla ludzi, którzy regularnie oddają własną krew.

Tyle tylko że skoro nieustannie słyszymy o tym, jak ważna i potrzebna jest krew, to czy nie warto byłoby choć w ten symboliczny sposób docenić krwiodawców? Tych, którzy najczęściej bezinteresownie ratują (dosłownie!) czyjeś życie? Można przecież skonstruować przepisy w taki sposób, by z jednej strony dodatkowo zachęcić ludzi do oddawania krwi, a z drugiej wyeliminować tych, którym zależałoby wyłącznie na przywilejach. Zniżkę można powiązać np. ze statusem Zasłużonego Honorowego Dawcy Krwi, określoną ilością oddanej krwi albo regularnością donacji. Państwo dysponuje instrumentami pozwalającymi stworzyć rozwiązanie, które nagradzałoby rzeczywiste, wieloletnie zaangażowanie.

Z punktu widzenia budżetu państwa nie mówimy też o dużych pieniądzach. Chodzi o kilka, może kilkanaście milionów złotych rocznie. Stała ulga kolejowa dla zasłużonych krwiodawców byłaby drobnym przywilejem o dużym znaczeniu symbolicznym. Skoro potrafimy tworzyć dziesiątki różnych ulg, dopłat i programów, naprawdę trudno wyjaśnić, dlaczego zabrakło miejsca dla ludzi, którzy oddają innym część siebie.

eprasa.pl 69d0a872dc

Proj. K. Karnkowski

Prawica na smyczy przeciwników

Wmówienie opcji politycznej błędów, których nie popełniła, świadczy o osiągnięciu **wyżyn sztuki propagandy**. Mimo to obozowi postępowców udało się to co najmniej kilkukrotnie: do dziś polska prawica ze wstydem spogląda na siebie, kajając się za przewiny, których nie popełniła.

Ludwik Pęzioł

Sukcesy postępowej propagandy rozciągają się od doraźnych, kąsających prawicę spinów medialnych, przez krytykę strategicznych decyzji na poziomie państwowym, aż po wytykanie „błędów" ideologicznych. Najgroźniejsze są te ostatnie, bo to one definiują, jakim grupom interesu prawica służy w pierwszej kolejności, a tym samym wyznaczają jej kierunek działania. Przyjrzyjmy się

eprasa.pl 69d0a872dc

jednak wszystkim tym kategoriom, by zrozumieć, jak odpowiednia perswazja sprawia, że prawica zaczyna „pilnować sama siebie", wypłukując się z treści, a wręcz zaczynając służyć swoim adwersarzom.

„Prawica nie umie"

Postępowcy bardzo chętnie stosują technikę wmawiania prawicy nieudolności w jakiejś dziedzinie. Ma to prowadzić do zaniechania przez nią działania jako organicznie niezdolnej do korekty błędów i rozwoju. Idealnym przykładem są nieudane dzieła popkultury mające propagować wartości konserwatywne czy chrześcijańskie. Rzeczywiście, studia nagraniowe, warsztaty i pracownie opuszcza sporo „gniotów", których twórcy są przekonani, że wystarczy wzniosła idea, by sam ich wytwór był arcydziełem. Problem w tym, że każdy kolejny „gniot" ma prowadzić do wniosku, że prawica „nie umie w popkulturę", a chrześcijański film, komiks czy zespół stają się synonimami złego smaku i toporności.

A nie jest przecież prawdą, że nie ma dobrych filmów o przesłaniu konserwatywno-chrześcijańskim – by wspomnieć choćby „Złego porucznika", „Pasję", „Gran Torino", „Jabłka Adama" czy anime „Frieren". Podobnie jest z muzyką, powieściami i komiksem. Wszystkie te przykłady przeczą twierdzeniu o jakiejkolwiek „immanentnej" niezdolności prawicy do tworzenia dobrej kultury popularnej.

Podobnie jest z akcjami społecznymi. Weźmy sytuację, w której firma zwalnia pracownika za głoszenie przekonań prawicowych, a w mediach społecznościowych pojawia się wezwanie do bojkotu jej produktów. Natychmiast zjawią się prawicowcy, którzy stwierdzą, że „prawica nie umie w bojkot konsumencki" i że nawoływanie do niego jest z góry skazane na niepowodzenie. I tak otrzymujemy samospełniające się proroctwo – autopacyfikację, która prowadzi do porażki każdej takiej inicjatywy.

Innym przekonaniem usilnie i skutecznie wdrukowywanym prawicowej części społeczeństwa jest spin, że „wpłacanie na media prawicowe to obciach", a one same „stosują politykę żebraczą". Nietrudno znaleźć prawicowców, którzy chętnie podchwytują tego typu sabotujące przekazy. Wystarczy drobna wpadka czy poczucie, że apeli o wpłaty jest za dużo, by prawicowe medium obśmiać.

Patrząc jednak na pojedyncze drzewo, traci się z oczu las. Usilne odstraszanie reklamodawców przez zorganizowanych aktywistów i próby zagłodzenia prawicowych mediów z wykorzystaniem instytucji państwa rządzonego przez lewicowych liberałów sprawiają, że media te są zmuszone do intensyfikowania apeli o wsparcie. A że styl czasem nie odpowiada? Bardzo możliwe. Niemniej należy przywrócić właściwe proporcje – jest to szczegół, podczas gdy sprawa zasadnicza to materialne „być albo nie być". Opcji progresywnej zależy z kolei na tym, by szczegół przyćmił istotę, a kanały komunikacji prawicy ze społeczeństwem po prostu zbankrutowały.

Pozbawić dumy

Liberałowie uwielbiają mantrować frazę: „państwo z kartonu". Robili to tak długo i tak usilnie, że i prawica zaczęła ją powtarzać, a jej część uczyniła z niej nadrzędny klucz interpretacyjny do rozumienia bieżących wydarzeń.

Można zapytać: cóż w tym złego? Skoro ktoś narzeka na „państwo z kartonu", tym samym wyraża przecież pragnienie państwa silnego i sprawnego. Problem w tym, że w praktyce owo narzekanie doprowadziło do osobliwej formy prawicowej ojkofobii. Polacy stali się w oczach części prawicy ludem „beznadziejnym", który po prostu nie potrafi się skutecznie zorganizować. No bo jeżeli państwo jest „kartonowe" niezależnie od tego, która partia rządzi, to problem musi być ukryty gdzieś głębiej – w naszym narodowym charakterze.

Tego typu narracja wspiera defetyzm i niską samoocenę Polaków – tym bardziej że odbiera im dumę z tego, co jednak się udało. A przecież istnieją ważne wskaźniki, którymi na tle Europy możemy się pochwalić, a które od polityki państwa w dużej mierze zależą: wzrost gospodarczy, poziom bezpieczeństwa, cyfryzacja etc.

Konsekwencją propagandowego „kartonizowania" państwa ma być również rosnące przekonanie o ułomności tej instytucji. To z kolei ułatwia szerzenie postulatu jej „zwijania" i tworzenia tzw.

POWTARZANIE, ŻE „PRAWICA NIE UMIE W BOJKOT KONSUMENCKI", STAJE SIĘ SAMOSPEŁNIAJĄCĄ SIĘ PRZEPOWIEDNIĄ.

eprasa.pl 69d0a872dc

państwa minimum, co oczywiście jest domeną liberałów i pozwala im zdobyć ideologiczną przewagę.

Kolejnymi „odkryciami" wielkich głów jest powtarzanie, że „państwa nie mają przyjaźni, tylko interesy", czego Polacy rzekomo mają nie rozumieć przez swoją romantyczną naturę. Jest to oczywiście stwierdzenie odnoszące się do uproszczonej wersji myślenia cwaniackiego handlarza, który powinien krótkoterminowo „golić" frajerów.

Warto tu zadać pytanie: w którym to momencie na arenie międzynarodowej Polska działała na niekorzyść swojego interesu narodowego? Czy wtedy, gdy pomagała Ukrainie, by wzmocnić funkcjonalny bufor przed Rosją, czy wtedy, gdy przyjmowała Ukraińców summa summarum wzmacniających polską gospodarkę? A może w ogóle wtedy, gdy przystępowała do NATO, ponieważ powinna była zażądać góry złota za zostanie jego wschodnią „flanką"?

Gadanie o tym, że Polska jest zbyt mało egoistyczna, to banalny frazes, którego rzeczywistą funkcją jest zaprezentowanie wygłaszającego go osobnika jako tego „cwaniaka", którego nikt nie wystrychnie na dudka. Tego typu frazesowicze po prostu chcieliby „wyżej licytować", nie pamiętając, że istnieją jednak górne granice licytacji, po przekroczeniu których wychodzi się na mało poważnego, a ktoś może po prostu wstać od stołu.

Brak uwzględnienia własnej realnej pozycji w rozgrywce, a także niedocenienie umiejętności innych graczy wynika oczywiście ze słabego rozeznania lub pychy – a najczęściej z obu naraz.

Idee

Szkodliwą propagandą, którą przyjęła część prawicy, jest przekonanie, że gospodarczy antyliberalizm to socjalizm. Wiara w to jest w niej tak mocna, że nawet gdy Kościół katolicki mówi inaczej na kartach klasycznych papieskich encyklik, zostaje oskarżony o „lewackie" odchylenie. Pomoc socjalna czy troska o prawa pracownicze – choćby służyły, nawet nie tyle równości, co wartościom typowo prawicowym, takim jak porządek, harmonia społeczna, silna rodzina czy niedopuszczenie do nastrojów rewolucyjnych – i tak są klasyfikowane jako „socjalizm".

Być może jest to po części efekt amerykanizacji i protestantyzacji, bo polska prawica nigdy nie była szczególnie leseferystyczna. Czy to sanacja, czy nacjonaliści – poza (rozdymanymi przez liberałów) potwierdzającymi regułę wyjątkami – odnosili się do państwowego interwencjonizmu pozytywnie, choć z różnych pozycji.

Swoistym dogmatem stało się też przekonanie, że bliższy prawicy jest liberalizm i to on jest jej naturalnym sojusznikiem, podczas gdy lewica to odwieczny wróg, którego należy zwalczać. Jest to oczywiście liberałom na rękę, ponieważ wzmacnia ich dominację, dorabiając sobie drugą – tym razem prawą – „nogę".

A sytuacja wcale nie jest oczywista. Patriotyczna lewica, która nie fiksuje się na tematach homo-abo, w wielu przypadkach (choć z innej pozycji) stanowi dla prawicy znacznie wiarygodniejszego sojusznika niż liberałowie, którzy zapraszają konserwatystów do alkowy, by powoli przerabiać ich na swój obraz i podobieństwo. Jak taki romans z liberalizmem wygląda w praktyce, pokazała polska scena partyjna, na której nominalnie prawicowe partie chętnie wymieniły hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna" na „Dom, grill, trawa, dwa samochody i wakacje". Przekonanie o bezalternatywności sojuszu z liberałami to więc kupiona przez dużą część prawicy forma propagandy prowadząca do jej powolnego samounicestwienia.

POWTARZANIE FRAZESU O „PAŃSTWIE Z KARTONU" DOPROWADZIŁO DO OSOBLIWEJ FORMY PRAWICOWEJ OJKOFOBII.

ROMANS PRAWICY Z LIBERALIZMEM SKOŃCZYŁ SIĘ WYMIANĄ HASŁA „BÓG, HONOR, OJCZYZNA" NA „DOM, GRILL, TRAWA, DWA SAMOCHODY I WAKACJE".

eprasa.pl 69d0a872dc

KARUZELA Z BLOGERAMI

ROSEMANN

MATKA Z KONOTOPIA

Ponad dekadę temu ludzie żyjący polityką lub z polityki mieli niemały ubaw, gdy posłanka Platformy Obywatelskiej Lidia Krajewska bez zahamowań wykpiła program inwestycji drogowych konkurentów, zanim prowadzący rozmowę Robert Mazurek przyznał się do małej manipulacji polegającej na tym, że jako konkurencyjny zaprezentował program jej własnej partii. Nieświadoma tego, jak się w istocie rzeczy mają, zaszarżowała, stwierdzając, że „to się nie nadaje do poważnej rozmowy".

Dzisiaj, o ile ktokolwiek by zauważył to śmieszne qui pro quo, rzecz pewnie by skomentowano jakoś przychylnie dla pani z PO, skupiając się raczej na tym, że Mazurek to „pisowska...". I pewnie dlatego Mazurek poniechał takich zabaw z politykami.

Rzecz bowiem ma się dzisiaj tak, że pokłócić się Polak z Polakiem jest w stanie o wszystko. A już przede wszystkim o to, który z nich jest Polakiem. Bo jeden to najpewniej ruska onuca, a drugi „folksdojcz". Nawet jeśli, co podobno nie jest w takich sporach rzadkie, z łona jednej matki obaj wyszli.

Czasem jest to nawet zabawne niemal jak z tą Krajewską u Mazurka, ale coraz częściej aż trudno pojąć, gdzie i kto rodzi tych ludzi, którzy potrafią w swoich opiniach, ocenach i sądach być tak wyzuci ze wstydu i elementarnej przyzwoitości. W zasadzie śmiem twierdzić, że coś takiego jak wstyd właściwie przestało istnieć.

Na węgierskiej autostradzie wypadkowi uległ polski autokar wiozący pielgrzymów z Medziugorie. Wskutek tragicznego wypadku zginęło dwanaście osób. Dla ludzi o normalnej wrażliwości takie zdarzenie to powód do zadumy, żalu i współczucia. Jednak są tacy, dla których fakt, że ofiary wracały z pielgrzymki, to powód, by publicznie ujawnić, jak bardzo można przestać być kimś, kto choć odrobinę zasługuje na to, by go uważać za człowieka. Bo gdyby to był autokar pełen turystów wracających z nart w Dolomitach, raczej nikt by wypadku nie komentował pytaniem: „No i gdzie jest ten wasz Bóg?". Nawet te „przypadki kliniczne" mające nagle w tej sytuacji tak specyficzne „teologiczne refleksje". W tym przypadku niektórzy nie miarkują słów, bo stosunek do wiary stał się jedną z „cegieł" w murze dzielącym nas na dwa wrogie plemiona. Choć w zasadzie trudno orzec, czy jakiekolwiek „cegły" istnieją, czy też pierwotny jest sam podział, a jako „cegieł" da się użyć czegokolwiek.

Gdzieś tam z boku rozważań o tym, „gdzie był Bóg", gdy ginęli pielgrzymi wracający przez Węgry do domu, owa ludzka mierzwa zaczęła dywagować o tym, na co powinien wydać swoje pieniądze miliarder, który w podtoruńskim Konotopiu ufundował pięćdziesięciometrowy posąg Maryi. Powinien otóż ufundować biblioteki, sale koncertowe. Jak na przykład Andrew Carnegie. Bo posąg Maryi to taka sama „siara", jak wierzyć, jadąc z Medziugorie, że gdyby co, gdzieś jest ten ich Bóg.

W odróżnieniu od Carnegiego, który miał dziewięć zabitych i ponad sto rannych powodów, by przejść „przemianę Ebenezera Scrooge'a", nie wiem, co powodowało miliarderem z Torunia, że swoje pieniądze wydał na chwałę Maryi. I wcale mnie to nie obchodzi. Tym mocniej, że niczego, także i tej ciekawości, nie chcę dzielić z tymi ludźmi.

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 69d0a872dc

ŚWIAT WEDŁUG JASTRZĘBOWSKIEGO

Uwaga! Uwaga! Łapanki!

Sławomir Jastrzębowski

Uwaga! Uwaga! Nadchodzi!
Koma trzy!
Ktoś biegnie po schodach.
Trzasnęły gdzieś drzwi.
Ze zgiełku i wrzawy
Dźwięk jeden wybucha,
Wprost w głos rezonatorów
Ogłaszam alarm!
Alarm dla prokuratorów!

Sytuacja wydaje się nadzwyczajna, stąd adekwatna, nadzwyczajna, ostrzegająca przed nadciągającymi zagrożeniami trawestacja wiersza Antoniego Słonimskiego. Udało się nam bowiem nie potwierdzić w kilku źródłach zbliżonych do czystej wody, iż władza nasza (no akurat moja to nie) przed końcem swoich rządów może sięgać po środki tak drastyczne, jak łapanki. Tak, tak, łapanki, łapanki, dobrze Państwo czytają. Piszę to z pełnym przekonaniem, ponieważ wiele wskazuje na to, że trudno powiedzieć. Zaczęło się od prokuratorów! Pierwszą ofiarą łapanki zdaje się być Ariadna Rużewicz-Zielińska z Prokuratury Rejonowej Gdańsk-Śródmieście, owszem, została schwytana, ale czyż mogła się spodziewać? Wszakże mieli chwytać najpierw w Okręgowych. Takie nieszczęście, takie nieszczęście, ale po kolei. Zalecam czytać do końca i uważnie, bo co prawda, ktoś może powiedzieć: „A co mnie to obchodzi, nie jestem przecież prokuratorem", ale pamiętać trzeba pewnego niemieckiego pastora i jego słowa: „Kiedy przyszli po mnie, nie było nikogo, kto mógłby zaprotestować". A zatem do lektury, do lektury...

Dnia 20 maja bieżącego roku przed Prokuraturą Krajową w Warszawie zgromadziły się nieprzebrane tłumy. Tego dnia prokuratura zaplanowała i wezwała na przesłuchanie człowieka niezwykle niebezpiecznego, redaktora Tomasza Sakiewicza. Ku zdziwieniu elit lewicowo-demokratycznych z lekką nutą tęczy, tłumy popierały głosem i ciałami owego jeszcze nieprzesłuchanego i jeszcze niepodejrzanego osobnika. Doszło do wznoszenia okrzyków oraz transparentów, czemu przyglądali się policja i prokuratorzy z Prokuratury Okręgowej przez okno. Szyby nieco drżały od okrzyków, lecz bardziej drżeli prokuratorzy wewnątrz, o czym za chwilę. Oczywiście skrupulatny czytelnik mógłby tu zażądać informacji: „A dlaczego, z jakiego powodu chcieli owego Tomasza przesłuchać, hę?". Moglibyśmy odpowiedzieć na to pytanie, ale nie zrobimy tego, ponieważ owego redaktora przesłuchuje się raz w tygodniu, w różnych miejscach kraju na różne okoliczności, bo mu się władza nie podoba, oraz gości się go w salach sądowych (bardzo rzadko, jako świadka), a poza tym tekst jest o łapankach, pragnę tutaj przypomnieć. Ale do rzeczy, do rzeczy.

Wtedy właśnie wydarzyły się owe wydarzenia, których pokłosiem będzie konieczność nowych przesłuchań! Groza! Otóż redaktor wszedł do środka, a wraz z nim wkroczyło kilku posłów i kilku dziennikarzy, jako osoby towarzyszące i towarzyskie. Budynek i wejście były strzeżone przez Służbę Więzienną, ale tak jakby nieśmiało jakoś strzeżone, czy coś. Prokuratorzy zaskoczeni niecodzienną gościnnością Służby Więziennej, słysząc uwerturę czy może raczej pomruk zbliżającego się tłumu, którego intencje wydały się im nieodgadnione, postanowili prewencyjnie dać dyla z prokuratury wyjściem tylnym (przednie było zajęte). Na zapisach z monitoringu widać, że salwując się ucieczką, drżą nieco (chyba że to wina monitoringu).

NA CO KOMU PCHAĆ SIĘ W POLITYKĘ ROK PRZED WYBORAMI?

Ktoś jednak musiał pracować i byli to dziennikarze, którzy relacjonowali wydarzenie na bieżąco, a oglądalność owego dnia była znakomita. Wprost znakomita.

Tu porzucamy narrację, przeskakując o dni kilka. Otóż owocem owych głośnych, także w sensie

eprasa.pl 69d0a872dc

dosłownym, wydarzeń był wnerw ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Waldemara Żurka. Owocem z kolei wnerwu był zespół, a dokładnie powstanie zespołu prokuratorskiego, który miał znaleźć winnych wydarzeń, pociągnąć ich do odpowiedzialności, ale przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie: „Co tam się naodwydarzało?”.

Jednak, jak poinformowały media, udało się jakoś dokooptować do zespołu dwie panie prokurator, przy czym, tu będą te poważne obawy czy co najmniej jedna, aby nie z łapanki, bo Ariadna Rużewicz-Zielińska trafiła do zespołu wprost z Prokuratury Rejonowej Gdańsk-Śródmieście. Zaraz wszystko wyjaśnię. W środowisku gdańskim

DZIENNIKARZE PYTALI, DLACZEGO AKURAT PANIĄ ARIADNĘ Z PROKURATURY REJONOWEJ DELEGOWANO DO KRAJOWEJ, BO TO JEDNAK SIĘ NIE ZDARZA.

Szefem zespołu została pani prokurator Ewa Wrzosek. No, nie żartuję, naprawdę! Tak, tak, ta pani prokurator Wrzosek, która tam trochę miała nosić materiały do prywatnej kancelarii Clifford Chance w sprawie przejmowania mediów publicznych – nie wiem, dlaczego mi się przypomniało, bo ona przede wszystkim walczyła za czasów PiS-u o demokrację z pełnym zaangażowaniem. Dobra tam, skracajmy trochę: stało się tak, że jak ten zespół prokuratorów, którego szefową była i jest pani Ewa Wrzosek, nieco popracował, to wszyscy prokuratorzy uciekli. Ale nie, że tylnym wyjściem przed tłumem, tylko chyba przed panią Wrzosek. Wszyscy uciekli. Wszyscy. Ani jeden nie został. Trochę to dziwny zespół jednoosobowy. Zaczęto więc szukać wśród prokuratorów, ale za bardzo się nie garnęli. Podobno (tu ostrzegam, że rozsiewam plotki) nie chcieli z panią Ewą pracować, gdyż cierpi na niedobór charyzmy, a poza tym sprawa wydawała się dęta i polityczna. Na co komu pchać się w politykę rok przed wyborami?

pani prokurator to postać nietuzinkowa nie tylko dlatego, że aktualnie toczy się wobec niej postępowanie służbowe. W czerwcu zarejestrowano je w Prokuraturze Okręgowej w Gdańsku, dotyczy „deliktu dyscyplinarnego w postaci uchybienia godności urzędu”, a dokładnie – jak ustaliła „Rzeczpospolita” – dotyczy podejrzenia wytworzenia i rozpowszechniania treści negatywnie oceniającej pracę innego funkcjonariusza publicznego. Wygląda to na anonimowe donoszenie na kolegów z roboty, ale kto wie, kto wie? To bynajmniej nie koniec „barwności” tej postaci. Przez kilka lat pracowała jako zastępca prokuratora rejonowego Gdańsk-Śródmieście, ale odwołano ją z funkcji i została zwykłym prokuratorem.

Dziennikarze pytali, dlaczego akurat panią Ariadnę z prokuratury rejonowej delegowano do krajowej, bo to jednak się nie zdarza raczej. Raczej z Rejonowej to do Okręgowej, a do Krajowej to z Okręgowej. No tak jest po prostu, ale tu tak nie jest czy nie było, więc pytano. „Powołanie pani prokurator do zespołu jest dyskrecjonalną decyzją Prokuratora Generalnego. Zarządzenie to nie zawiera uzasadnienia, które mógłbym przekazać” – taką oficjalną odpowiedź dostali dziennikarze od rzecznika. Gdyby ktoś nie znał słowa „dyskredycjonalna”, to oznacza ono „bo tak mi się chciało”, w tym przypadku może jednak chodzić o łapankę, ale nie przesądzajmy.

Jawi się pytanie być może zasadne, a być może nie: Kim był człowiek, który mógł wskazać na osobę pani Ariadny, żeby ją pochwycono do zespołu z łapanki?

W gronie podejrzewanych znalazł się gdański adwokat Paweł Zieliński, społeczny doradca ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Waldemara Żurka, który akurat jest byłym mężem prok. Rużewicz-Zielińskiej. Wiadomo, jacy są byli mężowie... Ten w dodatku jest też „członkiem, działającej przy Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Rady do spraw spółek z udziałem Skarbu Państwa i państwowych osób prawnych”.

NA KONIEC COŚ BEZ ZNACZENIA: ZŁAPANA PANI PROKURATOR BĘDZIE TERAZ ZARABIAĆ DUŻO WIĘCEJ.

Na koniec coś bez znaczenia: złapana pani prokurator będzie teraz zarabiać dużo więcej.

eprasa.pl 69d0a872dc

SYMULOWANA
rewolucja godnościowa AfD

– Prawdziwe są frustracje wschodnich – ale i coraz bardziej zachodnich Niemiec, lęk, że słabnąca gospodarka państwa odbije się na moim portfelu i poczuciu bezpieczeństwa, że emerytura może nie wystarczyć na zaspokojenie podstawowych potrzeb, że nie czuję się „u siebie" we własnej dzielnicy. Fałsz zaczyna się wtedy, gdy odpowiedzią na te problemy staje się delegitymizowanie instytucji, wygodna selekcja faktów, podział ludzi na tych bardziej i mniej pożądanych oraz próba odzyskania narodowej dumy kosztem uczciwego stosunku do własnej historii – mówi **Olga Doleśniak-Harczuk** w rozmowie z **Krzysztofem Karnkowskim**.

– W Saksonii-Anhalt zbliżają się wybory landowe i wszystko wskazuje na bardzo mocny wynik AfD. W sondażach partia Ulricha Siegmunda dochodzi do 41– 43 proc., podczas gdy tradycyjne partie wypadają dużo słabiej. Czy zwycięstwo AfD jest już właściwie nieuniknione i co może zmienić?

– AfD ma jak najbardziej szansę te wybory wygrać. Pytanie, czy będzie w stanie stworzyć rząd i czy znajdą się ludzie z innych partii, którzy poprą taki gabinet. Na poziomie federalnym CDU pilnuje zapory ogniowej (niem. Brandmauer), która wyklucza jakąkolwiek współpracę z AfD, ale im niżej schodzimy, tym wyraźniej widać miejsca, w których polityka CDU i AfD się zazębia. Najistotniejsze w debacie o Brandmauer są proporcje: AfD nie ma już kilkunastu procent poparcia, tylko 43 proc. w Saksonii-Anhalt, 42 proc. w Saksonii, 37 proc. w Brandenburgii, 36 proc. w Meklemburgii i 28 proc. w skali całych Niemiec. Jeżeli ten trend się utrzyma, debata się skończy.

Ważniejsze jest pytanie, dlaczego AfD rośnie. Spójrzmy na Saksonię-Anhalt. Kandydat na premiera Ulrich Siegmund to aktywny w mediach społecznościowych 35-latek sprawiający w bezpośrednim kontakcie wrażenie sympatycznego, zwyczajnego człowieka. Kiedy tygodnik „Der Spiegel" dał na okładce zdjęcie Siegmunda z podpisem: „Najniebezpieczniejszy człowiek Niemiec", efekt był odwrotny do zamierzonego: polityk stał się szerzej rozpoznawalny i przekuł niekorzystny przekaz medialny w sukces. Wszystko relacjonuje w swoich mediach społecznościowych. AfD traktuje TikTok, Instagram i inne kanały jak podstawowe narzędzia polityczne, podczas gdy CDU czy SPD przespały szansę na zbudowanie mocnej bazy w mediach społecznościowych.

> NA ZACHODZIE NIEMIEC WARTOŚĆ DZIEDZICZONEGO MAJĄTKU PER CAPITA JEST DZIEWIĘĆ RAZY WIĘKSZA NIŻ NA WSCHODZIE. „OST" NADAL MA POCZUCIE, ŻE JEST „GORSZY".

Wielu wyborców patrzy na Siegmunda i nie widzi w nim uśpionego demona, na którego próbuje go wystylizować część mediów. Widzi człowieka, który pracował, prowadził firmę, studiował zaocznie i nie wpisuje się w zachodnioniemiecki model studiów na renomowanej uczelni.

eprasa.pl 69d0a872dc

Fot. autor

Gdy komentatorzy zaczęli kpić z jego licencjatu z „marketingu zapachów wnętrz", trafiono w czuły punkt wielu wschodnich Niemców, którzy tak jak on kończyli studia wieczorowo lub zaocznie, bo musieli zarobić na utrzymanie. Według danych MDR Data z 19 sierpnia na zachodzie Niemiec wartość dziedziczonego majątku per capita jest dziewięć razy większa niż na wschodzie. „Ost" nadal nosi w sobie doświadczenie transformacji 1989 i 1990 roku i poczucie, że wschód jest „gorszy", niedostatecznie reprezentowany w polityce, gospodarce, nauce i instytucjach państwa. Pisał o tym prof. Dirk Oschmann w książce „Jak niemiecki Zachód wymyślił swój Wschód". Mimo ponad trzech dekad od upadku muru wschód odnosi wrażenie, że jest traktowany z pobłażaniem albo pogardą jako „wiecznie roszczeniowy", a nawet „niedorosły do demokracji". Narracja typu: „Nie pchaj się do polityki, bo masz dziwny dyplom" już nie zawstydza, tylko mobilizuje. AfD by nie powstała, gdyby nie stworzono jej warunków.

Według badania Instytutu FORSA z 18 sierpnia 79 proc. Niemców pytanych o to, co ich najbardziej martwi, wskazywało gospodarkę, 50 proc. politykę i partie polityczne, 46 proc. system socjalny, a 17 proc. imigrację i obcokrajowców. AfD narodziła się z kryzysu euro, ale wyrosła politycznie na sporze o migrację. Dziś w Saksonii-Anhalt często wybrzmiewa hasło „remigracja", a przy okazji AfD obiecuje tzw. lepsze życie: że „zrobi porządek z polityką energetyczną niszczącą małych i średnich przedsiębiorców", że będą „godne emerytury dla ciężko pracujących i remigracja dla przybyszów na zasiłkach". AfD jest największym beneficjentem powszechnego spadku zaufania do polityki jako takiej i jest silna słabością partii, które nie zorientowały się w porę, że Niemcom grozi zerwanie umowy społecznej będącej podstawą ładu państwowego.

– Jeśli nie chcemy zatrzymywać się na wizerunku Siegmunda, to gdzie są rzeczywiście ryzykowne elementy programu i przekazu AfD? Pojawiają się zapowiedzi dotyczące mediów publicznych i Urzędu Ochrony Konstytucji.

– I właśnie tam trzeba ich szukać. Nie w tym, czy ktoś uśmiecha się na ulicy i podaje ludziom rękę, tylko

eprasa.pl 69d0a872dc

w programie i w sposobie myślenia o instytucjach. AfD od dawna domaga się rewolucji w finansowaniu mediów publicznych, a konkretnie likwidacji abonamentu. Niechęć do mediów publicznych wynika z poczucia, że przez wiele lat AfD pomijano i nie zapraszano do debat czy popularnych formatów politycznych. Dziś jej politycy goszczą już w programach ZDF czy ARD, ale jednocześnie dysponują szeregiem narzędzi internetowych i mediami alternatywnymi o dużych zasięgach.

Co się tyczy Urzędu Ochrony Konstytucji (niem. Verfassungsschutz), AfD figuruje w raportach tej instytucji, również jako partia skrajnie prawicowa (Turyngia, Saksonia-Anhalt), w sensie „podważająca porządek demokratyczny". Jednocześnie w samej AfD od dawna wybrzmiewa postulat ograniczenia, a nawet likwidacji, tej instytucji. Björn Höcke mówi o „symulowanej" demokracji i odwraca sens działania Verfassungsschutz: według tej narracji urząd powinien chronić społeczeństwo przed rządem, a nie służyć rządowi do kontrolowania społeczeństwa. To jest już dużo poważniejsza sprawa niż wojna o wizerunek w mediach. Uderza w zaufanie do podstawowych instytucji państwa i przedstawia system demokratyczny jako konstrukcję pozorowaną czy oszukańczą albo „narzuconą przez aliantów" i przez to wymagającą odnowy.

W programie widać też napięcie wokół Kościołów. AfD chętnie odwołuje się do „chrześcijańskich wartości" jako fundamentu Europy, a jednocześnie ostro krytykuje Kościół katolicki i ewangelicki jako instytucje upolitycznione, wskazując np. na azyl kościelny dla nielegalnych imigrantów. Tradycja jest cenna tak długo, jak długo można ją włączyć do własnej opowieści politycznej; instytucja, która tej opowieści się sprzeciwia, szybko staje się częścią establishmentu.

I tu dochodzimy do czegoś, co nazwałabym rewolucją godnościową. AfD mówi Niemcom: „Koniec z upokorzeniami, przywrócimy wam prawo do dumy z tego, kim jesteście". Na wschodzie ten język trafia na realne poczucie krzywdy, ekonomicznej i symbolicznej, ale także do Niemców znużonych „kajaniem się za zbrodnie dziadków". W ostatniej dekadzie do mediów przebiły się wypowiedzi Alexandra Gaulanda o okresie 1933–1945 jako o „ptasim kleksie w ponad tysiącletniej, chwalebnej historii Niemiec" czy Björna Höckego, że „My, Niemcy, jesteśmy jedynym narodem na świecie, który postawił pomnik hańby w samym sercu swojej stolicy". Tak Höcke w 2017 r. skomentował Pomnik Pomordowanych Żydów Europy w Berlinie. Höcke jest najjaskrawszym przypadkiem polityka AfD, przy którym można założyć, że będzie dążył do zmiany paradygmatu w niemieckiej polityce pamięci, do wytłumienia pojęcia „kultu winy" na rzecz „zdrowego, niemieckiego patriotyzmu". W przypadku AfD mamy do czynienia z postulatem zmiany o 180 stopni. Do tego dochodzi polityka pamięci skierowana do środowisk wcześniej tradycyjnie związanych z CDU/CSU, między innymi potomków niemieckich wysiedlonych. AfD przejęła i rozwinęła narrację o niedostatecznym uznaniu niemieckiego cierpienia: „Przez dziesięciolecia kazano wam pamiętać przede wszystkim o niemieckiej winie, teraz macie prawo przypomnieć także własne krzywdy". Pamięć o niemieckich ofiarach jest uprawniona; problem zaczyna się wtedy, gdy staje się narzędziem do zmiany proporcji odpowiedzialności i rozmywania wyjątkowości zbrodni III Rzeszy.

AFD NARODZIŁA SIĘ Z KRYZYSU EURO, ALE WYROSŁA POLITYCZNIE NA SPORZE O MIGRACJĘ.

W programie AfD w Saksonii-Anhalt pojawia się też zamiar ograniczenia dotacji i pola działalności znajdującego się w Magdeburgu Niemieckiego Centrum ds. Utraconych Dóbr Kultury, które prowadzi badania proweniencyjne. AfD krytykuje badania nad dziełami, o które nikt się nie upomniał, a co do których zachodzi podejrzenie, że mogą należeć do dóbr zagrabionych w czasie wojny, twierdząc, że w „nieuzasadnionych przypadkach" służą „sztucznemu podtrzymywaniu poczucia winy". Tego typu pasaże mogą niepokoić zwłaszcza Polskę, która od dekad zabiega o zwrot zagrabionych dóbr kultury.

Partie głównego nurtu przespały moment, w którym mogły AfD odebrać paliwo. Rząd Merza zaostrzył politykę migracyjną, wróciły kontrole graniczne, szef MSW Alexander Dobrindt mówi o deportacjach i sukcesach w tej dziedzinie, ale AfD odpowiada: wciąż robicie za mało. Ma do dyspozycji prawdziwe przypadki, w których państwo zawiodło – ludzi, którzy powinni zostać wydaleni, a pozostali w Niemczech, czasem później dopuszczali się ciężkich przestępstw lub zamachów. Na tym buduje się silny emocjonalnie przekaz: elity bardziej przejmują się prawami sprawców niż losem ofiar. Tego nie można zbyć samą etykie-

eprasa.pl 69d0a872dc

tą „skrajna prawica”, bo za częścią gniewu stoją rzeczywiste błędy i zaniedbania. AfD nie musi ich wymyślać; wystarczy, że nada im własną interpretację.

Do tego dochodzi sposób, w jaki AfD była traktowana medialnie. Najpierw jej polityków nie zapraszano, później często przedstawiano przede wszystkim jako zagrożenie. Problem polega na tym, że próba administracyjnego czy medialnego uciszania AfD wzmacnia jej ulubioną opowieść: „Boją się nas, bo system jest przeciwko wam i przeciwko nam”.

Ulrich Siegmund w rozmowie z Benem Berndtem stwierdził: „Oni nie boją się, że będziemy rządzić, boją się, że będziemy rządzić dobrze”. To jest komunikat partii, która urosła również słabością wszystkich dookoła i która dochodzi do władzy z hasłem „rewolucji godnościowej”. Przy czym ja uważam to za symulowaną rewolucję godnościową, być może nieco złośliwie nawiązując do „symulowanej demokracji”, o której mówił Björn Höcke.

Potrzeba godności jest prawdziwa. Prawdziwe są frustracje wschodnich – ale i coraz bardziej zachodnich Niemiec, lęk, że słabnąca gospodarka państwa odbije się na moim portfelu i poczuciu bezpieczeństwa, że emerytura może nie wystarczyć na zaspokojenie podstawowych potrzeb, że nie czuję się „u siebie” we własnej dzielnicy. Fałsz zaczyna się wtedy, gdy odpowiedzią na te problemy staje się delegitymizowanie instytucji, wygodna selekcja faktów, podział ludzi na tych bardziej i mniej pożądanych oraz próba odzyskania narodowej dumy kosztem uczciwego stosunku do własnej historii.

JEŚLI JAKIŚ POLITYK AFD POCHWALI POLSKĘ ALBO POLSKIEGO POLITYKA, PODCHODZIŁABYM DO TEGO JAK DO GREKÓW PRZYNOSZĄCYCH DARY.

– Ostatnio, po 1 sierpnia, w przekazie AfD pojawia się dużo krytyki Polski i Polaków.

– AfD chwali Polskę w tych elementach, które pasują do jej wyobrażenia dobrej polityki: że ulice są bezpieczniejsze, że Polacy mieszkający w Niemczech pracują, asymilują się, wnoszą wartość do gospodarki, że są patriotyczni, czasem także że pozostają bardziej przywiązani do chrześcijaństwa. Taki przekaz może być dla Polaka przyjemny, bo słyszy: jesteś wartościowym człowiekiem, nie stanowisz problemu.

Ale obok tego są kwestie reparacji, pamięci historycznej czy bezpieczeństwa naszego państwa w kontekście wojny na Ukrainie. I wtedy okazuje się, że ta sympatia ma bardzo wyraźne granice. Nie można więc patrzeć na AfD jednowymiarowo: że wobec innych jest ostra, a dla nas będzie miła. Dziś jesteśmy użytecznym pozytywnym przykładem, jutro możemy nim nie być. Czysta polityka, którą AfD już nauczyła się prowadzić.

Jeśli jakiś polityk AfD pochwali Polskę albo polskiego polityka, podchodziłabym do tego jak do Greków przynoszących dary. Zapatrzenie się w to, że ktoś nas chwali, bywa krótkowzroczne i oparte na kompleksach, których my jako Polacy absolutnie nie powinniśmy mieć wobec żadnej opcji politycznej w Niemczech – ani w ogóle.

Olga Doleśniak-Harczuk – dziennikarka specjalizująca się w tematyce niemieckiej, założycielka strony Berliński Tygiel.

KOŃ MICHALSKI

eprasa.pl 69d0a872dc

Ameryka staje się bezpieczniejsza

Fot. Adobe Stock

Spadek przestępczości w Stanach Zjednoczonych stał się jednym z **najważniejszych argumentów** administracji Donalda Trumpa przed listopadowymi wyborami. Biały Dom przekonuje, że poprawa bezpieczeństwa jest efektem jego polityki, choć niektórzy wykazują w tej sprawie odmienne zdanie.

Tomasz Winiarski

Przez dekady kwestia przestępczości i bezpieczeństwa publicznego pozostawała jednym z ważniejszych tematów amerykańskiej polityki. Wysoki poziom przestępczości w największych miastach, brutalne zabójstwa oraz obawy o bezpieczeństwo na ulicach wielokrotnie wpływały na decyzje wyborców i stawały się ważnym elementem kampanii politycznych. Dla kolejnych administracji w Białym Domu walka z przestępczością była nie tylko kwestią polityki wewnętrznej, ale również symbolem skuteczności państwa i jego zdolności do zapewnienia obywatelom podstawowego bezpieczeństwa.

W ostatnich latach sytuacja zaczęła się jednak zmieniać. Po okresie gwałtownego wzrostu liczby zabójstw i innych przestępstw w czasie pandemii wskaźniki przestępczości w wielu amerykańskich miastach wyraźnie spadły. Jednocześnie w połowie tego roku temat bezpieczeństwa ponownie przedostał się do politycznego sporu za oceanem.

Donald Trump przedstawia poprawę statystyk jako dowód skuteczności swojej administracji i zdecydowanej polityki wobec przestępczości, choć eksperci wskazują, że przyczyny obserwowanego spadku są znacznie bardziej złożone.

Spór nie dotyczy więc wyłącznie tego, czy Ameryka staje się bezpieczniejsza. Coraz częściej chodzi również o to, kto może przypisać sobie zasługi za tę zmianę, oraz jaką rolę w walce z przestępczością powinna odgrywać władza federalna.

Wraz ze zbliżającymi się wyborami śródokresowymi kwestia bezpieczeństwa może stać się dla administracji Trumpa jednym z ważniejszych narzędzi politycznych ma-

eprasa.pl 69d0a872dc

jących pomóc utrzymać władzę Partii Republikańskiej w Kongresie.

W stolicy mniej zabójstw

Przytoczone przez telewizję Fox News w połowie sierpnia dane organizacji Major Cities Chiefs Association, która skupia funkcjonariuszy służb porządkowych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, wskazują na wyraźną poprawę poziomu bezpieczeństwa w Waszyngtonie.

W pierwszej połowie 2026 roku liczba zabójstw była tam aż o 43,9 procent niższa niż rok wcześniej.

Jak podaje Fox News, niektórzy wiążą ten spadek z działaniami podjętymi przez administrację Donalda Trumpa – przede wszystkim z wprowadzeniem Gwardii Narodowej na ulice amerykańskiej stolicy oraz przejęciem przez władze federalne kontroli nad lokalną policją.

Trump podjął te decyzje na początku sierpnia 2025 roku, uzasadniając je koniecznością przywrócenia porządku i bezpieczeństwa w Waszyngtonie. Jak wówczas argumentował, działania te miały na celu „ocalenie stolicy naszego kraju przed przestępczością, rozlewem krwi, chaosem, nędzą i czymś jeszcze gorszym".

Jak wynika z relacji mieszkańców, również oni dostrzegają zmiany w swojej stolicy.

– Coś działa i myślę, że dodatkowe oczy i uszy na ulicach pomagają w osiągnięciu tego efektu. Z tego, co wiem od osób z Waszyngtonu, z którymi mam kontakt, a są to ludzie z różnych środowisk, zauważają różnicę. Czują się bezpieczniej – powiedziała Tamara Jachym.

Biały Dom zwraca również uwagę na działania grupy zadaniowej „Safe and Beautiful", której funkcjonariusze mieli doprowadzić do ponad 16 tysięcy aresztowań w Waszyngtonie.

Jak powiedziała w rozmowie z Fox News Lauren Bis, przedstawicielka zespołu rzecznika prasowego Białego Domu, Donald Trump dotrzymał obietnicy dotyczącej poprawy bezpieczeństwa w Stanach Zjednoczonych. Jak podkreśliła, potwierdzają to najnowsze dane.

– Prezydent Trump przekształcił stolicę naszego kraju z miasta ogarniętego przestępczością w bezpieczne i piękne miejsce dla mieszkańców oraz odwiedzających. Prezydencka grupa zadaniowa ds. bezpieczeństwa i estetyki miasta dokonała ponad 16 tysięcy aresztowań, w tym osób podejrzanych o morderstwa, przestępstwa seksualne, handel narkotykami i inne brutalne przestępstwa. Grupa zadaniowa doprowadziła do spadku przestępczości, poprawy wyglądu miasta oraz podniesienia jakości życia niezliczonej liczby jego mieszkańców – oświadczyła Bis.

W 2025 ROKU WSKAŹNIK ZABÓJSTW W STANACH ZJEDNOCZONYCH OBNIŻYŁ SIĘ, OSIĄGAJĄC NAJNIŻSZY POZIOM OD 75 LAT.

Szerszy trend

Najnowszy raport FBI wskazuje, że poprawa bezpieczeństwa ma znacznie szerszy charakter i obejmuje cały kraj. W 2025 roku wskaźnik zabójstw w Stanach Zjednoczonych obniżył się do 4,1 na 100 tysięcy mieszkańców, osiągając najniższy poziom od 75 lat. Jednocześnie liczba przestępstw z użyciem przemocy spadła o 9,3 procent, a przestępstw przeciwko mieniu – o 12,4 procent.

Eksperci wskazują jednak, że trend spadkowy rozpoczął się wcześniej, a przyczyny poprawy bezpieczeństwa są złożone i nie wynikają z jednego działania.

– Spadek liczby zabójstw jest historyczny i to nie ulega wątpliwości. Jednak w tej chwili to, co go napędza, jest mniej więcej tak jasne jak szklanka mleka – określił Adam Gelb, prezes i dyrektor generalny think tanku Council on Criminal Justice.

– Wskaźniki spadają w miastach, które stosują bardzo różne strategie dotyczące bezpieczeństwa publicznego, mają odmienne warunki gospodarcze i są zarządzane przez polityków reprezentujących różne opcje polityczne. Ta zgodność obserwowana na całej mapie powinna skłaniać nas do ostrożności przed przypisywaniem zasług jakiemukolwiek konkretnemu przywódcy, partii, polityce czy programowi, zanim dowody pozwolą wyciągnąć takie wnioski – dodał.

Donald Trump przekonuje natomiast, że na poprawę sytuacji istotny wpływ miały działania jego administracji. Wśród osób, którym przypisuje szczególne zasługi w spadku przestępczości, wymienia m.in. szefa FBI Kasha Patela oraz niedawno zatwierdzonego przez Senat nowego prokuratora generalnego USA Todda Blanche'a.

– Załóżmy, że nie mają tam dobrego przywództwa, tak jak Chicago, które ma bardzo złe przywództwo. Ale liczby spadają dzięki temu, co robi rząd federalny. Samorządy chcą przypisać sobie całą zasługę, ale wszyscy wiedzą, że wykonaliśmy niesamowitą pracę. Prokuratorzy federalni, FBI, wszyscy ci ludzie, Kash, a Todd był po prostu w tym niesamowity – ogłosił prezydent USA podczas wizyty w akademii policyjnej w Nowym Jorku w połowie sierpnia.

eprasa.pl 69d0a872dc

Podczas uroczystości Trump nie szczędził krytyki swojemu poprzednikowi Joe Bidenowi w sprawie jego polityki bezpieczeństwa. Jednocześnie podkreślał swoje zdecydowane poparcie dla organów ścigania i wskazywał na podejmowane przez jego administrację działania wymierzone w przestępczość, w tym rozmieszczenie Gwardii Narodowej w Waszyngtonie oraz innych miastach.

– Skończyliśmy z wojną przeciwko policji i wypowiedzieliśmy zdecydowaną wojnę przestępczości – powiedział Trump podczas wizyty w Nowym Jorku.

Za prezydentury Donalda Trumpa federalne organy ścigania w dużej mierze koncentrują swoje działania na kwestiach związanych z imigracją, która pozostaje jednym z najważniejszych tematów podejmowanych przez prezydenta.

Biały Dom stara się przy tym wykorzystać poprawiające się statystyki dotyczące przestępczości jako argument na rzecz skuteczności administracji. Spadająca liczba przestępstw może również stanowić dla Trumpa polityczny atut przed zbliżającymi się wyborami śródokresowymi, pozwalając mu przekonywać wyborców, że jego polityka przynosi wymierne rezultaty w obszarze bezpieczeństwa.

Polityczne złoto?

Coroczne badania pracowni Gallup pokazują, że poczucie zagrożenia wśród Amerykanów pozostaje stosunkowo wysokie mimo obserwowanego w ostatnim czasie spadku przestępczości. W 2024 roku 35 procent mieszkańców USA deklarowało, że w promieniu mili od ich domu znajduje się miejsce, w którym obawialiby się samotnie przebywać po zmroku.

W przeszłości poziom tych obaw wyraźnie rósł w okresach zwiększonej przestępczości. W 1982 roku sięgał 48 procent, a w 1993 roku – 43 procent. Najniższy wynik odnotowano w 2020 roku, gdy taką obawę wyrażało 29 procent badanych.

PRZECIĘTNEGO AMERYKANINA OBECNIE O WIELE BARDZIEJ ZAJMUJE GOSPODARKA NIŻ BEZPIECZEŃSTWO NA ULICACH.

Jednocześnie z przeprowadzonego na początku lipca badania Pew Research Center wynika, że kwestie związane z bezpieczeństwem i przestępczością nie należą obecnie do najważniejszych tematów dla amerykańskich wyborców.

W kontekście zbliżających się wyborów do Kongresu zdecydowanie większe znaczenie ma dla nich sytuacja gospodarcza, a przede wszystkim rosnące koszty życia. Aż 29 procent respondentów wskazało, że właśnie o tym chciałoby przede wszystkim słyszeć od kandydatów startujących w wyborach śródokresowych.

Dla porównania kwestie bezpieczeństwa wewnętrznego i przestępczości uzyskały łącznie nie więcej niż 4 procent wskazań.

Spadek przestępczości niewątpliwie daje administracji Trumpa argument, który może wykorzystać w politycznej walce w wyborach w listopadzie, choć tym trudniej będzie go wykorzystać, gdyż przeciętnego Amerykanina obecnie o wiele bardziej zajmuje gospodarka niż bezpieczeństwo na ulicach.

Wydaje się więc, że to nie same statystyki dotyczące przestępczości, lecz ich przełożenie na codzienne, praktyczne poczucie szeroko pojętego bezpieczeństwa Amerykanów może zdecydować o tym, czy Biały Dom zdoła przekuć poprawę tych wskaźników w trwały polityczny sukces, nie tylko w kampanii wyborczej przed zbliżającymi się wyborami śródokresowymi.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl 69d0a872dc

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Dziś „rezerwat dla komunistów". To oczywiście sfotografowane przez Pana humorystyczne hasło. W jakich okolicznościach zrobił Pan to zdjęcie?

Tomek: – To było w sierpniu 1988 roku w Stoczni Gdańskiej, podczas strajków, które odbywały się wówczas nie tylko w Gdańsku, ale również w wielu innych miastach w całej Polsce.

– Mamy i wielokrotnie publikowaliśmy już inne zdjęcia z Pana ówczesnego pobytu w Stoczni. Przypomnijmy, dostał się Pan tam dzięki przepustce wydanej przez „Przegląd Katolicki".

– Tak, wsiadłem w pociąg ze specjalnym pismem z „Przeglądu" i pojechałem. Wysiadłem z ostrożności w Sopocie, wsiadłem w kolejkę i pojechałem do Gdańska. Poszedłem do kościoła św. Brygidy i tam dostałem akredytację. W Stoczni robiłem zdjęcia przez dwa dni.

– Mówił mi Pan, że ze strajku w Stoczni Gdańskiej cenzura puściła Panu wówczas tylko jedno zdjęcie.

– Oczywiście nie to. Ale za to dziś prezentowana fotografia znalazła się jako wprowadzająca do późniejszego materiału telewizyjnego opisującego historię strajków w Stoczni.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 69d0a872dc

KULTURA

Czytaj też:
Cud w Warszawie 52

CELUJĘ w wolne i dobre duchy

– Osoby funkcjonujące w szeroko pojętej kulturze i show-biznesie potrzebowały uwagi, której nie dostały w dzieciństwie, w okresie dojrzewania czy będąc młodymi dorosłymi. Dlatego dzielą się swoją wrażliwością z odbiorcami – mówi **szegetz**, raper, autor tekstów, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Jak odnajdujesz się we współczesnym muzycznym świecie i w obecnych trendach? Łączysz estetykę punkową z rapem, jest w tym energia, jest coś buntowniczego, a patrząc na to, co dzieje się w głównym nurcie, mocno odstajesz. Gdzie chcesz znaleźć dla siebie miejsce na polskiej scenie muzycznej?

– Chyba w pęknięciach, w jakichś dziwnych przestrzeniach. Na szczęście takie miejsca istnieją, jest ich całkiem sporo w świecie alternatywnym. Natomiast gdybym miał się pchać do głównego nurtu, to byłoby to bicie głową w ścianę.

– W nawiązaniu do Twojego singla, bo spotkaliśmy się przy okazji wydania „Płomieni" – co wzbu-

eprasa.pl 69d0a872dc

szegetz wraca z nową muzyką! Jego najnowszy singiel „**Płomienie**” to propozycja dla słuchaczy, którzy w muzyce cenią bezkompromisowość. Utwór jest pierwszą zapowiedzią debiutanckiego albumu artysty.

dza ten płomień? Jak podsycasz go zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym?

– To jest moja kontemplacja czy wręcz medytacja tego ognia, który koniec końców nie wiadomo, co właściwie znaczy. W tym utworze jest wiele odpowiedzi, ale może jeszcze więcej pytań. To jest dobre pytanie: co podsyca płomień, co podsyca ogień w życiu? Jeżeli tym ogniem jest chociażby zadawanie sobie jakichś pytań albo odrobina piasku rzuconego w tryby tego systemu, to już jest OK. Absolutnie nie rościłbym sobie pretensji do tego, że to jest kawałek, który ma wzniecić ogień. Są takie cytaty również w tym utworze. On kończy się fragmentem wiersza tureckiego poety. To jest jakiś rodzaj wezwania, ale równocześnie wiemy z historii, że takie wezwania najczęściej pozostają bez odpowiedzi albo przyczyniają się do czegoś. Trudno tutaj znaleźć jakiś jeden prosty sens.

– Czym dla Ciebie jest bezkompromisowość?

– To jest między innymi mała liczba wyświetleń, mały zasięg, ale też poczucie, że robisz to, co chcesz, i robisz to w sposób, w jaki chcesz. To nie znaczy, że jestem zamknięty. Jestem bardzo otwarty i lubię słuchać ludzi, którzy podpowiadają mi różne rzeczy. Wsłuchuję się w głosy krytyczne, ale ta bezkompromisowość to jest chyba zaufanie do swojej wizji, która ma doprowadzić do nie wiadomo czego. Bo, jak się domyślasz, to też nie jest wizja, która ma doprowadzić na szczyty list przebojów czy coś w tym rodzaju. Ma być po prostu zgodną ze mną i autentyczną wypowiedzią.

– Żyjesz z muzyki?

– Po prostu tworzę. Absolutnie nie żyję z muzyki. W najlepszym wypadku gdzieś się utrzymuję na powierzchni i wychodzę na zero, bo praca z ludźmi, których cenisz, też kosztuje. Staram się być w porządku, jeżeli z kimś współpracuję. W każdym razie nie mógłbym się utrzymać z muzyki. Zajmuję się szeroko rozumianą branżą kultury. W Warszawie miałem roczny epizod korporacyjny. Źle nie było, ale zawinąłem się z powrotem do Wielkopolski i pracuję w kulturze. Kokosów tam nie ma. Wcześniej działałem w jakichś niezależnych, dziwnych grupach teatralnych. Za muzykę wziąłem się przez slamy poetyckie. Występowałem na nich i był taki moment, że udało mi się wygrać sporo tych turniejów. To mnie podbudowało. Pierwszy raz stałem na scenie z mikrofonem, gadałem i pomyślałem, że taką naturalną drogą rozwoju byłoby robienie tego. A że nie umiem za bardzo śpiewać, pomyślałem o rapie. O przekładaniu tworzenia tekstu na rytm, na brzmienie muzyczne. I tak to się zaczęło.

SZUKAM SWOJEGO MIEJSCA W RÓŻNYCH DZIWNYCH PRZESTRZENIACH.

– Bardzo mocno eksplorujesz DIY, czyli „do it yourself”, „zrób to sam”. To jest wybór podyktowany otoczeniem, czy wiesz, że nagrywasz niezbyt przyswajalną muzykę dla statystycznego odbiorcy?

– Podyktowane to jest drogą twórczą, ludźmi, wśród których się obracałem, ale też kwestiami światopoglądowymi. Myślę, że DIY jest mi po prostu bliski. Nie ma w tym gładkiego formatu, natomiast jest w tym trochę bezczelności. Mam wrażenie, że każdy artysta, każdy twórca, twórczyni, ale również dziennikarz – czy po prostu człowiek – który zabiera głos, ma w sobie jakąś bezczelność. W pewnym sensie zakładamy, że ktoś będzie chciał nas słuchać.

DIY, „ZRÓB TO SAM”, JEST MI BLISKI.

– To prawda.

– Prawda? Ty to robisz, ja to robię. Michał Szpak, Dawid Podsiadło – każdy, kto sobie usiądzie z kartką albo zaplanuje wywiad, zakłada, że ktoś będzie tego słuchał. Mamy jeden czas w życiu i zakładamy, że ktoś ten jeden

eprasa.pl 69d0a872dc

jedyny czas w życiu poświęci na to, żeby posłuchać mojego kawałka, Twojego wywiadu itd. Jest w tym rodzaj bezczelności. Uważam, że osoby, funkcjonujące w szeroko pojętej kulturze i show-biznesie, też właśnie potrzebowały tej uwagi, której nie dostały w dzieciństwie, w okresie dojrzewania czy będąc młodymi dorosłymi. Dlatego dzielą się swoją wrażliwością z odbiorcami.

– Co z Twoją płytą?

– Zdaję sobie sprawę, że moja płyta powstawała przez dziesięć lat także dlatego, że teksty były źle napisane technicznie i zanim nauczyłem się je dobrze zarapować, tak żeby były w formacie muzycznym, sporo mnie to kosztowało czasu, pieniędzy w studiu itd. Po drugie, to też jest jakiś rodzaj perfekcjonizmu. Przez trzy lata sobie nagrywałem i nie udało się nagrać wszystkiego tak, jak chciałem, więc cały czas coś poprawiałem. Poprawiałem, poprawiałem. Po trzech latach, kiedy już uświadomiłem sobie, że cały czas to tworzę, a tego wciąż nie ma, pomyślałem: „Ej, stary, dobra, po trzech latach to musi być jednak lepsze". Więc dalej kombinowałem. Minęły następne dwa lata. Po pięciu latach już totalnie było: „Dlaczego przez pięć lat tego nie zrobiłem? To już musi być bardzo dobre". I to się niestety tak napędzało. Spirala prokrastynacji – czy jakkolwiek to nazwać – często bierze się z tego, że boimy się oceny. Bo coś, co masz w głowie jako szkic, zawsze wygląda pięknie. Natomiast w momencie, kiedy projekt z głowy zaczynasz przekładać na coś zewnętrznego – czy to jest rysunek, rzeźba, utwór literacki czy muzyczny – wtedy podlega on coraz bardziej zewnętrznej ocenie. I u mnie też był lęk przed tym, żeby zrobić to dobrze czy możliwie dobrze. To się tak zapętlało. Można więc powiedzieć, że z jednej strony niby jestem bezkompromisowy, ale z drugiej – byłem bardzo przejęty tym, żeby to było dobre.

szegetz

to głos wydobywający się z ciężkiego, zadymionego i dusznego podziemia. Raper wywodzący się ze slamów poetyckich, który działa w duchu koncepcji DIY. Sam nazywa się „poetą ze złamanym nosem" tudzież zwykłym „typem z Gniezna". Do tej pory publikował swoje wiersze i nawijał w niecodziennych lokalizacjach – na squatach, w Puszczy Białowieskiej czy punkowym klubie bez kabli. Artysta ma też na swoim koncie występy na festiwalach oraz… w teatrze!

Fundamenty szegetza zostały solidnie przetestowane i przygotowane na to, by jego twórczość w końcu wypłynęła na szersze wody. Artysta ma już na swoim koncie dobrze przyjęte single: „albo istniejemy", „sierpień pięknych saren" oraz „ELO GNIEZNO", który powstał we współpracy m.in. z Ananasem i Miłym ATZ. Najnowszy singiel to otwarcie zupełnie nowego rozdziału w karierze artysty.

GDYBYM MIAŁ SIĘ PCHAĆ DO GŁÓWNEGO NURTU, TO BYŁOBY BICIE GŁOWĄ W ŚCIANĘ.

– Czym jest slam poetycki? Co jest w nim dobrego? Jak się tam dostać, od czego zacząć, jak to funkcjonuje?

– Dlaczego slam jest dobry? Bo jest świetną przestrzenią do tego, żeby zacząć i żeby eksperymentować z podawaniem swoich tekstów. Wiem, że wielu polskich artystów zaczynało na slamach poetyckich albo równolegle ze swoimi początkami kariery muzycznej występowało na slamach. Najprościej tłumacząc: jest to wieczór, podczas którego ludzie uczestniczą w pewnym rodzaju turnieju i występują ze swoimi tekstami. Jedna z niewielu zasad jest taka, że każdy ma trzy minuty na zaprezentowanie swojego autorskiego tekstu. To jest zasada absolutnie święta w slamach poetyckich. Prezentujesz swój tekst i po tych trzech minutach jesteś – niestety albo stety – oceniany. To znaczy: ludzie głosują, czy przechodzisz dalej do kolejnej rundy.

– Jako widownia?

eprasa.pl 69d0a872dc

– Tak, widownia jest jury. Powstawało to chyba w latach 80. w Chicago, kiedy poezja w Stanach Zjednoczonych była bardzo zamknięta. Facet założył w Chicago, że zacznie organizować slamy poetyckie. To był pierwszy tego typu turniej w knajpie. Chodziło o to, żeby poezja wróciła do ludzi. Nie ma profesorów czy krytyków jako jury, są tylko zwykli ludzie, którzy przychodzą i słuchają. I to jest o tyle fajne, że po prostu – powiem po poznańsku – wuchta wiary [dużo osób – przyp. red.] odpada po kolei.

– Czyli to Cię otworzyło i to widać w Twojej twórczości?

– Tak. Bardzo polecam branie udziału w slamach – albo jako uczestnik, albo jako widz. W Warszawie jest na przykład fajny slam. Miałem okazję wziąć udział i na szczęście wygrać slam w Złotym Ośle, gdzieś na Szmulkach, czyli na Pradze. Co roku odbywają się też na przykład Imieniny Jana Kochanowskiego w Ogrodzie Krasińskich. Tam również jest fajny slam.

– Można z tego żyć czy to raczej forma hobby?

– To jest forma hobby, w Polsce jeszcze nie można z tego żyć. Są ludzie, którzy są znani i rozpoznawalni w tym środowisku, ale nie ma tutaj mowy o takich pieniądzach i sponsorach, żeby można było z tego żyć.

PO PROSTU TWORZĘ. ABSOLUTNIE NIE ŻYJĘ Z MUZYKI.

– Czyli nie trzeba należeć do jakiegoś konkretnego środowiska, żeby się tam dostać?

– Nie. To jest właśnie świetne, że to jest absolutnie otwarta impreza. Można przyjść z ulicy. Można wystąpić, rzucając coś z głowy albo czytając z kartki – jak kto woli. Są tacy i tacy. Niektórzy uważają, że powinno się uczyć tekstu. Oczywiście są plusy tego, że mówi się z pamięci.

– Trzy minuty?

– Trzy minuty to taka bardzo klasyczna zasada. Mogę przygotować wiersz biały. Ktoś robi bardziej śmieszkowe rzeczy, czasami to skręca trochę w stronę open micu czy stand-upu. Ktoś opowiada dosłownie jakąś traumę z dzieciństwa. Czasami są to wiersze, które trwają kilkanaście sekund, czasami ktoś ma wyliczone dokładnie trzy minuty.

– Może być też trzyminutowy stand-up?

– Może być. Są tacy, którzy robią to dobrze. Dosłownie freestyle, krótko mówiąc.

– Co Cię wyróżnia na niwie poetyckiej i muzycznej?

– Myślę, że tutaj wspólnym mianownikiem jest to, że jeżeli ktoś tego nie lubi, to powiedziałby, że te rzeczy są trochę przegadane. Ja lubię taki styl. Kiedyś dużo słuchałem Saula Williamsa i bardzo podobał mi się jego sposób wypowiedzi. W Polsce był taki wiersz „Uderzenie" Szczepana Kopyta. Kiedyś słyszałem go na żywo i zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. To jest taki – nie chcę powiedzieć kaznodziejski – ale trochę proroczy styl. W „Płomieniach" słychać coś takiego, jakiś rodzaj natchnienia. To utwór, który operuje wieloma słowami i pewną spoken-wordową energią. Na płycie „Prześwit" będzie tego bardzo dużo słychać, dlatego że te teksty pisałem w okresie, kiedy jeszcze dużo slamowałem i chyba mniej pisałem rapowych tekstów. One są więc w pewnym sensie właśnie w rapie, w muzyce, trochę przegadane. Nie zawsze mieszczą się w tych taktach. Starałem się, żeby to robiły, ale nie żyją pod dyktando rytmu. Raczej próbują wchodzić z nim w jakąś relację. Prawdopodobnie gdybym teraz miał robić kolejny materiał, byłby on dużo bardziej sformatowany i dużo bardziej muzyczny. Natomiast tutaj jest to trochę inne. W moim rapie na pewno będzie słychać dużo slamu. Będzie słychać, że jest wiele słów, które niekoniecznie zawsze idą jeden do jednego z melodią bitu czy rytmem. Trochę żyją swoim życiem. Na pewno komuś się to spodoba, a dla kogoś innego będzie nie do słuchania.

W POLSCE BYŁ TAKI WIERSZ „UDERZENIE" SZCZEPANA KOPYTA. KIEDYŚ SŁYSZAŁEM GO NA ŻYWO I ZROBIŁO TO NA MNIE OGROMNE WRAŻENIE.

– Do kogo kierujesz swoją twórczość?

– Celuję w wolne i dobre duchy.

eprasa.pl 69d0a872dc

FILM

Fot. materiały dystrybutora

Cud w Warszawie

W połowie sierpnia na ekrany naszych kin wszedł „Odzyskany", pełnometrażowy debiut reżyserki Marcina Kwaśnego, wcześniej znanego głównie jako aktora, występującego między innymi w „Klanie". I jako jednego z tych przedstawicieli środowiska aktorskiego, który **nie boi się dawać świadectwa swojej wiary** czy angażować się w inicjatywy o wymowie patriotycznej. Wcześniej Kwaśny nakręcił już krótkometrażową „Spowiedź", której „Odzyskany" jest pełnoprawnym, choć wcale nie tak oczywistym, rozwinięciem i dopowiedzeniem.

Krzysztof Karnkowski

W licznych wywiadach, między innymi w rozmowie z Markiem Nowakiem na naszych łamach, Kwaśny zapowiadał, że nowy film będzie odpowiedzią na częste pytania o dalsze losy bohatera krótkiego metrażu sprzed kilku lat. „Spowiedź" była filmem powstałym ze sprzeciwu twórcy wobec zaniku praktyki spowiedzi. Obraz nie wbijał nam jednak w głowę prostego polecenia. W zamian pokazywał nam cud. Oto Jan, młody i mocno pogubiony chłopak, trafia do kościoła właściwie przypadkiem, uciekając przed ścigającymi go bandziorami. Sam musi robić różne mało chwalebne rzeczy, by utrzymać chorującą matkę. Aby zmylić trop, markuje spowiedź, równocześnie właściwie kłócąc się z księdzem. A jednak doznaje poczucia prawdziwej Bożej obecności, więc i spowiedź staje się prawdziwa. Lecz gdy dla niego wszystko się zmienia, prześladujący go bandzior krąży po kościele. Gdy Jan wychodzi ze świątyni, nie wiemy, co go czeka. Jasność dnia za drzwiami kościoła może być złudna. Kwaśny ciekawie miesza tu sacrum i profanum, poruszając się momentami na granicy dosłowności: gdy nasz bohater przypomina sobie grzechy, sceny przemocy, hulanki i seksu mieszają się z Męką Pańską.

Ojciec marnotrawny

„Odzyskany" zaczyna się od tych samych niemal scen. Część ujęć jest zresztą ponownie wykorzystana,

eprasa.pl 69d0a872dc

inne powstały na nowo. Jest spowiedź, jest ucieczka, lecz cud przenosi się na inną płaszczyznę. Gdy Jan wychodzi z kościoła, widzimy, że Bóg w jego życiu pracować będzie w sposób dla niego samego dość długo niezauważalny. Chłopakiem wciąż targają wątpliwości i choć na swój sposób zaprzyjaźnia się ze swoim spowiednikiem i szuka u niego pomocy, również materialnej, to jednak wciąż kłóci się i z nim, i z samym Stwórcą. Początki tego, co miało być nowym życiem, nie są wcale obiecujące. Nie zniknęły długi, nie odpuścili prześladowcy. Co gorsza, matka umiera, a Janek staje w obliczu utraty dachu nad głową. Mniej więcej wtedy zjawia się jego ojciec, bezdomny, alkoholik, facet upadły tak nisko, że niżej już prawie się nie da (choć da się przecież, nie ma wątpliwości). Nagle okazuje się, że gdy wszystko się traci w życiu, coś można jednak dostać. Mężczyźni nawiązują ze sobą relację, której zabrakło w dzieciństwie chłopaka, gdy ojciec zostawił jego i matkę, bardziej na własną niż ich zgubę. I tu Kwaśny dokona ciekawego zabiegu – film stopniowo zostanie ociosany z pobocznych wątków, a brawurowe sceny ustąpią miejsca budowaniu relacji (przyznam, że trochę mi przez to brakuje filmowego mięsa w końcówce filmu). Sytuacje zostaną nierozwiązane lub rozwiążą się poza świadomością widza, zostanie tylko ten jeden, najważniejszy wątek. Syn odzyska ojca, ojciec odzyska syna, obaj odzyskają choć trochę z utraconego wcześniej wspólnego czasu. Nie będzie to historia mdła ani cukierkowa. Znajdzie się w niej całe pasmo upadków, poszukiwania ojca w lesie, transport pijanego do nieprzytomności przez nocną Warszawę, cały ten alkoholowy bród i syf. Obok jednak będzie się wydarzał także cud, na spacerach, w rozmowach, w odwróconym porządku lekcji pływania, których to syn udzielać będzie ojcu, biorąc go na ręce w warszawskim stawie.

Nawróceni

„Byłem 18 lat człowiekiem, który, można powiedzieć, był po «drugiej stronie». Walczyłem z Kościołem, klerem, z samym Bogiem. Gdybym się nie nawrócił, pewnie dalej bym to robił. Ten obraz jest właśnie o nawróceniu. O tym, że jak człowiek się zwraca do Boga z serca o pomoc, to nie ma takiej możliwości, by go Bóg nie wysłuchał. Proszę mi wierzyć, że tak jest. Ja jestem tego najlepszym przykładem, więc można też powiedzieć, że ten film jest także odzwierciedleniem moich przeżyć i doświadczeń. Jeśli te doświadczenia mogą komuś pomóc, być dla kogoś drogowskazem, który może wyprowadzić z różnych ciemnych i mrocznych miejsc, to jestem szczęśliwy z tego powodu" – mówił Markowi Nowakowi Marcin Kwaśny w marcu tego roku. „Jestem idealistą i wierzę, że sztuka potrafi wpływać na ludzi, zmieniać świat, poruszać, tłumaczyć i inspirować do zmian. [...] są projekty utwierdzające mnie w tym przekonaniu. «Odzyskany» jest właśnie jednym z nich. To nie jest projekt, który przyjąłem z powodów pragmatycznych czy zawodowych. Traktuję go jako pewnego rodzaju służbę. Mam głęboką nadzieję i wiarę, że ten film może komuś pomóc, coś wyjaśnić, skłonić do refleksji nad tym, co naprawdę ważne – nad wiarą, miłością i wolnością" – opowiadał tygodnikowi „Niedziela" odtwórca głównej roli w obu filmach Filip Gurłacz. Gurłacz, podobnie jak Kwaśny, jest znany głównie jako aktor serialowy, od lat występował w nadawanym w TV Puls kryminale „Dzielnica strachu", za który dostał nawet Telekamerę. I tak samo jak reżyser przyznaje się do wiary, co w połączeniu z cytowaną wyżej deklaracją pokazuje, jak bardzo pasuje do swojej roli. Co więcej, jego osobista historia alkoholowego upadku i nagłego nawrócenia podczas spowiedzi w dużym stopniu pokrywa się z tym, co widzimy na ekranie. W „Odzyskanym" towarzyszą mu znani aktorzy starszego pokolenia, matkę gra Maria Gładkowska, ojca – Andrzej Mastalerz. Oboje przekonująco pokazują nam swój własny dramat: ona śmiertelną chorobę, on alkoholową degrengoladę. Jest jeszcze łączący obie części przyjazny i żyjący w zgodzie z głoszonymi wartościami ksiądz, sam z własną ciężką historią, którą poznajemy w nowym filmie, grany przez Wojciecha Czerwińskiego. Jest też cała plejada pomniejszych postaci, a wreszcie jest Warszawa, którą Kwaśny jako filmowiec potrafi pokazać z uczuciem podobnym do tego, jakie ma dla swoich postaci.

OSOBISTA HISTORIA ALKOHOLOWEGO UPADKU I NAGŁEGO NAWRÓCENIA PODCZAS SPOWIEDZI W DUŻYM STOPNIU POKRYWA SIĘ Z TYM, CO WIDZIMY NA EKRANIE.

„Odzyskany", reż. i scen. Marcin Kwaśny, wyst. Filip Gurłacz, Andrzej Mastalerz, Maria Gładkowska, prod. Polska 2026, dystrybucja Rafael Film.

eprasa.pl 69d0a872dc

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Polska według Dwurnika: świat wreszcie przedstawiony

Bokobrody i robotnicze kaski, przystanki PKS w szczerym polu i cieniste ławeczki w parkach, ulubione przez piwoszy: pod pędzlem Edwarda Dwurnika prowincjonalna gierkowska Polska stawała się tworzywem sztuki.

Edward Dwurnik, „Przystanek autobusowy", akryl i olej na płótnie, Fundacja Edwarda Dwurnika

Fot. MSN

Artysta, którego prace można zobaczyć tego lata na Marszałkowskiej, już w pierwszym zdaniu wikipediowego biogramu określony został mianem postaci charyzmatycznej. Charyzmatycznej i, dodajmy, powszechnie rozpoznawalnej: nie trzeba studiować w galeriach pociągnięć pędzla, żeby po pierwszym spotkaniu z obrazami Edwarda Dwurnika kojarzyć je na pierwszy rzut oka, niezależnie od ewolucji stylu, tematyki i barw. (Pozorna) prostota, (pozorna) łatwość malowania – realistyczne, choć szkicowo, czasem karykaturalnie ujęte postaci i sceny – doskonale sprzyjają temu, co krytycy określają mianem „narracyjności": te obrazy niemal zawsze opowiadają o jakimś wydarzeniu.

Ale też – jak fantastyczna jest ta (pozornie) realistyczna opowieść! Na wystawie pokazane zostały przede wszystkim obrazy należące do dwóch najbardziej znanych cyklów malarskich Dwurnika: „Sportowców" i „Robotników" – w pierwszej sali znalazły się jeszcze cztery wieloformatowe płótna, z których dwa należą do cyklu „Podróże autostopem". Są to w znakomitej większości prace z lat 70. i 80.: dwóch znaczących dekad PRL. Gdyby w rezultacie jakiegoś kataklizmu zniknęły wszystkie opracowania o życiu społecznym i obyczajach tamtych czasów, wszystkie pamiętniki, roczniki prasy i filmy kina moralnego niepokoju – można by je odtworzyć na podstawie tych obrazów.

To nie tylko kwestia mody i uczesań, dżinsowych mini i wszechobecnych u mężczyzn baczków, drwiących uśmiechów i poręcznych butelek 0,33 litra. Oczywiście, Dwurnik utrwala i przerysowuje te drobne rysy rzeczywistości. Opowiada jednak znacznie więcej: oddaje sytuacje międzyludzkie i relacje społeczne, zarówno „nadbudowę" tworzoną przez propagandę gierkowską, jak i „świat nieprzedstawiony" kolejek, cinkciarstwa, pracy na lewo, marzeń o wyjeździe na Zachód, podrywu na motorower, „festynów ludowych", kobiecych brygad remontowych, prowincjonalnych pochodów... Gdyby szykowano nowe wydanie powieści Kazimierza Orłosia „Cudowna melina" – jak wspaniale byłoby zilustrować ją obrazami Dwurnika! Choć inna rzecz, że tych setek płócien starczyłoby na więcej, na zilustrowanie rozgałęzionej sagi toczącej się od Świnoujścia po Bieszczady.

Oczywiście, nie należy dać się nabrać na ten „fotoreporterski" realizm. Dwurnik był artystą wyjątkowo świadomym historii i polityki: na serio zacznie ją malować w latach 80., ukazując w tle czerni i bieli stanu wojennego reformatorów Sejmu Wielkiego prowadzonych na Sybir i łagrowe wieżyczki, ale już po obrazach o dziesięć lat wcześniejszych widać, że porusza się w świecie znaczeń i skojarzeń, że nie wychodzi z teatralnej czy muzealnej rekwizytorni: w malowanym z lotu ptaka miasteczku mieszkańcy wirują w średniowiecznych zapaskach i kaftanach, biesiadnik z „Narady produkcyjnej" (1977) ma epolety godne oficera gwardii cesarskiej... Do tego zaś czasem pyszne szpile polityczne („Szczęśliwa murarka" z roku 1988 trzyma w ręku książkę z motywem krzyża na okładce, zapewne Biblię lub modlitewnik; jak świetna to, w każdym geście i rysie twarzy, parafraza jednego ze sztandarowych płócien polskiego socrealizmu „Portretu Bronisławy Urbanowicz" Aleksandra Kobzdeja, którego bohaterka zaciska w dłoni „Na trasie. Pierwsze czytanki dla dorosłych"!). Czasem – czysta, nieokiełznana, trochę łobuzerska fantazja, jak umieszczanie u stóp zatroskanych ludzi całych stad psów, z których co najmniej jeden musi kurzyć fajkę...

Zarówno „polityczność", jak i wieloznaczność nie zasłużyły na wzmiankę w tekstach kuratorskich Łukasza Rondudy, który z solenną powagą, wspartą tak uroczymi frazami, jak „w polu sztuki", „renegocjowanie doświadczenia awansu" czy „naznaczenie trwałą ambiwalencją" uporczywie interpretuje dzieło Dwurnika w duchu historii ludowej, podkreślając, że malarz starał się „narzucić perspektywę klasową". Paradne! Oczywiście, Edward Dwurnik doświadczał napięcia między „Polską prowincjonalną" (z której sam, syn rzemieślnika z Radzymina, się

eprasa.pl 69d0a872dc

wywodził) a salonami artystyczno-opozycyjnymi, ścieżek awansu i „szklanych sufitów” Polski gierkowskiej – i ukazywał je w swoich dziełach: przeczytawszy jednak, że „ambiwalentnie rozpoznaje skomplikowane relacje” pękłby chyba ze śmiechu – albo narysował jeszcze jednego pieska z fajką.

Mniejsza o teksty kuratorskie, szczęśliwie można ich nie czytać; większa szkoda, że na wystawie, która zapowiada przegląd twórczości artysty z trzech dekad zabrakło prac z dwóch kolejnych jego cyklów: „Droga na wschód” (1989–1991), poświęconego polskim ofiarom sowieckiego komunizmu, oraz „Od grudnia do czerwca” (1990–1993), oddającego hołd osobom zamordowanym podczas stanu wojennego. Nie wiem, czy Muzeum miało kłopot z wypożyczeniem tych prac, czy nie zabiegało o nie, ponieważ niewystarczająco przejrzyście oddają perspektywę klasową? Nawet jednak z tym deficytem – mamy do czynienia ze świetną i ważną wystawą.

„Edward Dwurnik. Duma i wstyd”, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa, 31.07.2026 – 28.02.2027. Kurator: Łukasz Ronduda.

Śląska Erin Brockovich

Ta książka zatoczyła krąg: jej pierwsze, skromniejsze niż dziś wydanie wstrząsnęło opinią publiczną na tyle skutecznie, że doprowadziło do wyprodukowania przez Netflix miniserialu (reż. Maciej Pieprzyca, scen. Jakub Korolczuk). „Ołowiane dzieci” dostępne są na tej platformie od lutego, doczekały się już pochwał i recenzji. Drugie, poprawione wydanie można czytać już nie jak zakazany niemal owoc, opowieść o jednej z mrocznych tajemnic PRL-u: prędzej jako szczególne połączenie ciężkiego, ołowianego oskarżenia systemu władzy oraz nostalgicznej opowieści o najpogodniejszej z PRL-owskich dekad.

To drugie stało się możliwe, ponieważ Michał Jędryka złamał konwencję literacką, żeniąc reporterską historię z czymś w rodzaju opowieści przygodowej dla młodzieży z lat 70. adresowanej wyraźnie do chłopaków: jest piłka nożna, pierwsza miłość, drobne wybryki, gra (niezbyt miękka) o podwórkowy prestiż – razem wziąwszy, trochę Bahdaj, trochę Domagalik, z lekką domieszką Krystyny Siesickiej. To mogło się kompletnie nie udać – a jednak kostium okazał się leżeć jak ulał, a przywołanie już na pierwszych stronach trzepaka, brzdąkania na gitarze, akademii na początek roku szkolnego i formatu „przyjaciółek – papużek nierozłączek” wprowadza nas w klimat gierkowskich blokowisk skuteczniej, niż zrobiłby to wstęp pełen przypisów. Swoją drogą, bardzo ciekaw jestem motywacji i wieku czytelników książki Jędryki: ilu z nich sięga po nią z ciekawości największego skandalu zdrowotnego Polski Ludowej, ilu z nostalgii?

Skandal zdrowotny nie przestaje poruszać. „Tragedia nie tak głośna jak w Czarnobylu, nie tak powszechna jak koronawirus” – mówi dziś o niej bohaterka tej opowieści (i bohaterka w pierwotnym znaczeniu tego słowa) dr Jolanta Wadowska-Król. Odniosła pyrrusowe zwycięstwo: zdołała dotrzeć z informacją o katastrofalnym wzroście zachorowań na ołowicę wśród dzieci mieszkających w pobliżu Huty Szopienice do lekarzy Śląskiej Akademii Medycznej i do władz: zorganizowano leczenie sanatoryjne tysięcy dzieci, doprowadzono do wyburzenia najbardziej skażonych budynków osiedla Burowiec i przesiedlenia zamieszkujących je rodzin do nowych osiedli. Zarazem jednak nie tylko złamano karierę naukową lekarki, lecz i wymuszono wymazywanie z dokumentacji medycznej wszelkich odniesień do ołowicy. Dzieci zatrute wówczas pyłami, bliscy tych, którzy zmarli na ołowicę, nie mają szans przed sądami: w szczątkowej dokumentacji medycznej brak dowodów na przestępstwo.

„Zbrodnia szopienicka” była podręcznikowym przykładem funkcjonowania systemu władzy: krzykliwa propaganda sukcesu, prymat „wypełnienia założeń planu”, skuteczna cenzura i brak niezależnych od partii rządzącej instytucji, do których można by się odwołać, drobne zmiany na lepsze wprowadzane opornie i ukradkiem, zastraszanie informatorów. I tak, można uznać, że mieszkańcy Szopienic mieli szczęście żyć na Górnym Śląsku pod wojewodą Jerzym Ziętkiem, a nie nad Morzem Aralskim, w pobliżu poligonu w Semipałatyńsku czy w mieście Copșa Mică w Rumunii: w bloku wschodnim nie patyczkowano się z dolegliwościami mieszkańców. Z drugiej strony, zarówno historia tytułowej Eric Brockovich, jak i byle wędlina z marketu, na etykiecie której czytamy „konserwowano azotynem sodu”, choć wiadomo, że jest on rakotwórczy, pokazują, że dążenie do maksymalizacji zysków i wyników potrafi zobojętnić na los bliźnich w każdym ustroju.

Michał Jędryka, „Ołowiane dzieci. Zapomniana epidemia”, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2026.

eprasa.pl 69d0a872dc

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **25 SIERPNIA** zdarzyło się:

1599 – wydano drukiem Biblię w tłumaczeniu ks. Jakuba Wujka;

1920 – wojna polsko-bolszewicka: zakończyła się Bitwa Warszawska.

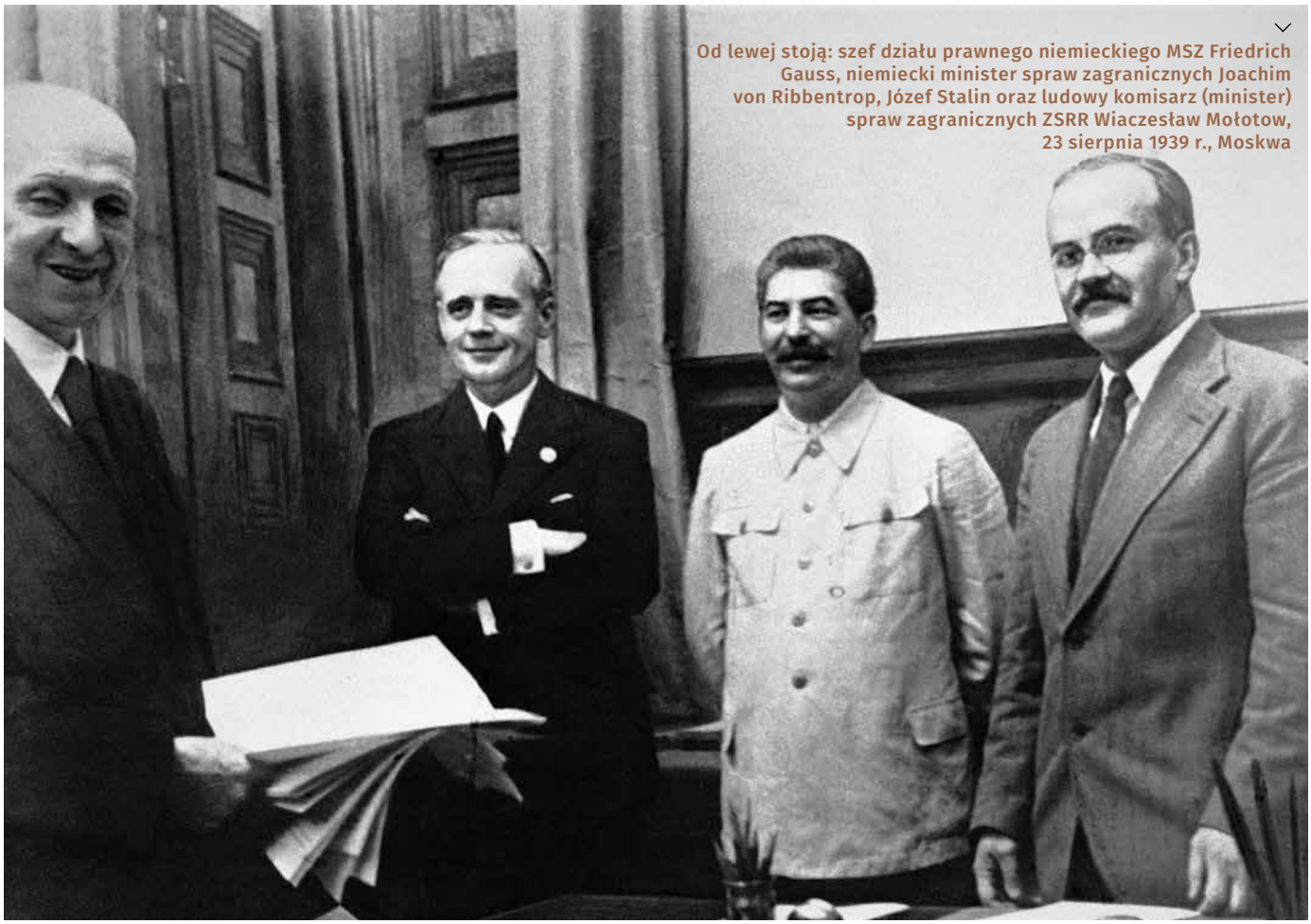

Od lewej stoją: szef działu prawnego niemieckiego MSZ Friedrich Gauss, niemiecki minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop, Józef Stalin oraz ludowy komisarz (minister) spraw zagranicznych ZSRR Wiaczesław Mołotow, 23 sierpnia 1939 r., Moskwa

Fot. Wikimedia Commons

PAKT dwóch wąsatych diabłów

We wtorek, 22 sierpnia 1939 r., po południu niemiecka agencja informacyjna wydała komunikat mówiący o tym, że rządy Rzeszy i Związku Sowieckiego **doszły do porozumienia** w sprawie zawarcia paktu o nieagresji. A minister spraw zagranicznych III Rzeszy Joachim von Ribbentrop zamierza pojawić się w Moskwie dzień później w celu zakończenia rokowań.

Sebastian Reńca

eprasa.pl 69d0a872dc

Niemal równocześnie sowiecka agencja informacyjna puściła w świat depeszę: „Po zawarciu sowiecko-niemieckiego układu handlowo-kredytowego wyłania się kwestia poprawy stosunków politycznych między Rzeszą i ZSRS. Dokonana w tej mierze wymiana poglądów między rządami sowieckim i niemieckim pozwoliła stwierdzić istnienie woli obu stron do złagodzenia napięcia w ich wzajemnych stosunkach, usunięcia groźby wojny i zawarcia paktu o nieagresji".

Francuska agencja informacyjna dodawała, że zawarcie paktu o nieagresji między Rzeszą a ZSRS w niczym nie przeszkadza dalszemu prowadzeniu rokowań między Sowietami a Francją i Anglią o układ tych państw dotyczący przeciwstawienia się niemieckiej agresji.

Na wieść o tym, że Moskwa zaprasza Ribbentropa, Adolf Hitler nie krył radości, wiedział, że gdy tylko obie strony złożą podpisy na dokumencie, on będzie mógł zaatakować Polskę.

– Polska znalazła się teraz w sytuacji, w której chciałem ją widzieć. Nie musimy obawiać się żadnej blokady. Wschód zaopatrzy nas w zboże, bydło, węgiel, ołów, cynk. Stoimy przed wielkim zadaniem, które wymaga wielkich wysiłków – mówił tamtego dnia Hitler i dodawał: – Dzisiejsze oznajmienie o pakcie o nieagresji z Rosją zabrzmiało jak wybuch bomby. Trudno przewidzieć konsekwencje. Stalin również oświadczył, że na tej drodze skorzystają oba kraje. Skutek w Polsce będzie straszliwy...

I był. Wojna, która wybuchła za kilka dni, kosztowała m.in. życie około 6 milionów Polaków, zniszczone miasta, zrabowane archiwa, muzea, biblioteki, zbombardowane zabytki oraz utratę dwóch ważnych polskich miast: Lwowa i Wilna.

Swastyka na ulicach Moskwy

Samolot Olto Wulf Condor z Ribbentropem i delegacją niemiecką na pokładzie, który wystartował z Królewca, wylądował 23 sierpnia 1939 r. o godz. 13 na moskiewskim centralnym lotnisku. Niemieckiemu ministrowi towarzyszyła ponad trzydziestoosobowa delegacja, w której byli m.in. szef gabinetu, szef protokołu, funkcjonariusze Gestapo oraz osobista ochrona ministra.

Ribbentropa przywitali nie tylko pracownicy niemieckiej ambasady, ale też sowieccy politycy, w tym Władimir Potiomkin, zastępca ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRS, oraz Gieorgij Barkow, szef protokołu dyplomatycznego. Z pewnością to on upierał się, by zorganizować flagi nazistowskie, które miały powiewać na lotnisku. Ażeby je zdobyć, funkcjonariusze NKWD zarekwirowali je z magazynów Mosfilmu, sowieckiej wytwórni filmowej. W ten sposób cztery czerwone flagi ze swastyką pośrodku powiewały na lotnisku. Jeszcze jedna, ale mniejsza flaga ze swastyką została zatknięta na samochodzie pancernym marki Packard należącym do ministra Wiaczesława Mołotowa, którym Ribbentrop odjechał w kierunku centrum miasta.

Jak relacjonowała ówczesna prasa, był to pierwszy przypadek, kiedy flaga ze swastyką ukazała się na ulicach Moskwy. „Dotychczas swastyka była tu tematem najzłośliwszych karykatur. W ostatnim numerze sowieckiego tygodnika satyrycznego «Krokodił» swastyka została jeszcze użyta jako element niezbyt pochlebnej dla Niemiec karykatury".

Choć media nie podawały, że na lotnisku pojawiła się orkiestra, to amerykański dyplomata Charles Bohlen, którego informatorem był człowiek z otoczenia niemieckiego ambasadora w ZSRS Friedricha Schulenburga, zapisał w swoich wspomnieniach: „Orkiestra sowiecka nauczyła się w pośpiechu hymnu nazistowskiego. Odegrano go wraz z «Międzynarodówką» na przywitanie niemieckiej delegacji".

Jeden z członków niemieckiej delegacji, zobaczywszy na płycie lotniska Potiomkina, miał nieodparte skojarzenie z człowiekiem, dzięki któremu powstało sformułowanie: „wsie potiomkinowskie", będące symbolem mistyfikacji i oszustwa. Skojarzenie było słuszne, ponieważ Hitler, paktując ze Stalinem za pośrednictwem swego wiernego ministra, zabezpieczał się od wschodu, jednocześnie będąc przekonanym, że z zachodu ani Anglia, ani Francja nie zaatakują, zaś prędzej niż później przyjdzie czas na zajęcie na wschodzie „lebensraum" dla wielkiego narodu niemieckiego, tak bardzo poszkodowanego w traktacie wersalskim.

„ORKIESTRA SOWIECKA NAUCZYŁA SIĘ W POŚPIECHU HYMNU NAZISTOWSKIEGO. ODEGRANO GO WRAZ Z «MIĘDZYNARODÓWKĄ» NA PRZYWITANIE NIEMIECKIEJ DELEGACJI".

eprasa.pl 69d0a872dc

Minister Adolfa Hitlera zatrzymał się wraz ze świtą w gmachu poselstwa austriackiego, którego fasada była pośpiesznie odnawiana na przyjazd Ribbentropa. Wkrótce dyplomaci dwóch odwiecznych wrogów Rzeczypospolitej przystąpili do rozmów...

Gorący sierpień '39

Tamten sierpień był nie tylko gorącym miesiącem, jeżeli chodzi o aurę (brak deszczy i wysokie temperatury powodowały rosnące ceny warzyw i owoców), ale też w życiu politycznym. W Polsce, Europie i na świecie zdawano sobie sprawę z tego, że wojna, którą rozpęta Hitler, w końcu wybuchnie, i to wkrótce, bo tzw. polityka appeasementu w wykonaniu zachodnich polityków względem kanclerza III Rzeszy okazała się drogą donikąd.

W dniu, w którym poddani Stalina musieli wywiesić w Moskwie szwabskie flagi, prezydent Ignacy Mościcki w obecności marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego przyjął premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego, ministra spraw zagranicznych Józefa Becka oraz wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Spotkania rozpoczęły się o godz. 17 na zamku w Warszawie. Z pewnością dyskutowano o tym, co dzieje się nie tylko w Moskwie, ale też w Londynie, Paryżu i Berlinie.

W tym samym dniu Hitler spotkał się w Berchtesgaden z ambasadorem brytyjskim. Sir Nevile Henderson usłyszał, że żadne zobowiązania, chociażby względem Polski, nie mogą nakłonić Rzeszy „do rezygnacji z występowania w sprawie swoich narodowo i życiowo ważnych interesów".

Gorąco było również na Downing Street 10 w Londynie, gdzie brytyjski premier Neville Chamberlain (zresztą ojciec appeasementu względem Hitlera) odbywał serię spotkań z kolejnymi ambasadorami.

Francja powołała tego dnia pod broń 700 tys. rezerwistów, prezydent USA Franklin Delano Roosevelt przerwał zaś urlop i zwołał obie izby Kongresu.

Również w tamtą środę nad Boguminem, który od października 1938 r. był polskim miastem na Śląsku Cieszyńskim, przeleciał niemiecki samolot bombowy. Polski myśliwiec wystartował z najbliższego lotniska i zmusił niemiecką maszynę do opuszczenia terytorium Rzeczypospolitej. Nie była to pierwsza taka prowokacja w ostatnich dniach ze strony Luftwaffe.

Ponadto V kolumna wciąż dawała o sobie znać, szczególne na terenach, które Niemcy uznawali za swoje, a utracili je po I wojnie światowej. Między innymi 20 sierpnia, w dniu pogrzebu Wojciecha Korfantego, tzw. nieznani sprawcy włamali się do biura jego syna Zbigniewa. W Gdańsku zaś tamtejsza policja (niemiecka) aresztowała w ciągu 24 godzin wielu polskich kolejarzy. Ponadto policja wchodziła na teren dworców, gdzie jurysdykcję miała jedynie policja kolejowa, i dokonywała rewizji oraz sprawdzania dokumentów pasażerów. Gdy jeden z polskich kolejarzy oznajmił Niemcom, że ich działania są bezprawne, zamiast odpowiedzi zobaczył w ręku szwabskiego gliniarza rewolwer.

Z tego, że Niemcy szykują się do czegoś, polscy wojskowi i politycy musieli doskonale zdawać sobie sprawę. W ostatnich dniach sierpnia w całej Rzeszy stacje benzynowe mogły cywilom sprzedawać jedynie 500 litrów benzyny dziennie, w samym Berlinie zaś w ogóle. Ogólnie było wiadomo, że paliwo jest zabezpieczane na potrzeby armii. Ponadto Niemcy pod pozorem manewrów tak naprawdę przeprowadzali generalną mobilizację. W gazetach można było przeczytać, że Wehrmacht ma już 2 miliony żołnierzy pod bronią, którzy są szczepieni przeciwko tyfusowi.

> W PRZYPADKU POLSKI GRANICA „STREFY INTERESÓW" RZESZY I ZWIĄZKU SOWIECKIEGO MIAŁA PRZEBIEGAĆ WZDŁUŻ LINII NARWI, WISŁY I SANU.

Stalin daje słowo honoru

Delegacje sowiecka i niemiecka prowadziły na Kremlu rozmowy od popołudnia do wieczora. Następnie odbył się bankiet, po którym wrócono do rozmów. W końcu podpisano dokumenty i na salę weszli kelnerzy z tacami, na których stały kieliszki wypełnione alkoholem. Stalin wziął jeden z nich i wzniósł toast.

– Wiem, jak bardzo naród niemiecki kocha swego Führera, chciałbym więc wypić jego zdrowie.

Następny toast wzniósł Mołotow, który oznajmił, że to właśnie Józef Stalin doprowadził do kompletnego zwrotu w stosunkach politycznych obu państw. W niemieckim protokole z tamtych rozmów zanotowano jeszcze, że gdy się rozchodzono, Stalin zwrócił się do ministra spraw zagranicznych Rzeszy:

eprasa.pl 69d0a872dc

– Rząd sowiecki bierze nowy pakt bardzo poważnie. Zaręczam słowem honoru, że rząd sowiecki nie zdradzi swego partnera.

I nie zdradził, dlatego publicysta Aleksander Bregman miał rację, nazywając Stalina „najlepszym sojusznikiem Hitlera". Podobnie myślał również Michaił Zubow, bohater powieści „Zapiski oficera Armii Czerwonej" Sergiusza Piaseckiego, który powiesił sobie na ścianie portret Hitlera obok portretu Stalina i napisał pod nim: „Adolf Hitler – największy przyjaciel wodza Rosji, Stalina".

A przywódca ZSRS nie zawiódł przywódcy III Rzeszy nawet 22 czerwca 1941 r., gdy armie niemieckie wchodziły w granice Związku Sowieckiego, to transporty m.in. z żywnością wciąż jechały do Niemiec.

Jak pisał historyk Jerzy Łojek, dla Polski miał znaczenie 2. punkt paktu o nieagresji mówiący o tym, że „w wypadku gdyby jedna ze stron stała się przedmiotem wrogiej agresji ze strony państwa trzeciego, druga strona nie udzieli temu trzeciemu państwu żadnej pomocy".

Najistotniejszy był jednak tajny protokół do paktu, o którym ani polski rząd, ani prezydent nie mieli pojęcia. Jego treść została ujawniona dopiero po 1945 r., gdy Amerykanie upublicznili archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych III Rzeszy.

Tajny protokół dzielił państwa leżące pomiędzy Rzeszą a Związkiem Sowieckim. W przypadku Polski granica „strefy interesów" miała przebiegać wzdłuż linii Narwi, Wisły i Sanu.

„Hitler uzyskał pewność, że w czasie wojny z Polską i zachodnimi aliantami ze strony Rosji nie spotka go żadna niespodzianka. Stalin uzyskał gwarancję całkowitego bezpieczeństwa operacji anektowania do swego imperium połowy Polski oraz trzech państw bałtyckich" – pisał Jerzy Łojek, który podkreślał, że bez paktu Ribbentrop-Mołotow i dodanego do niego tajnego protokołu wojna światowa najprawdopodobniej nie wybuchłaby: „rozłożyłaby się na kilka osobnych operacji albo odsunęła się w czasie o kilka lat".

Gestapo i NKWD

Współpraca Związku Sowieckiego i III Rzeszy nie ograniczała się tylko do wspólnego zaatakowania Rzeczypospolitej we wrześniu 1939 r., a następnie podziału Polski czy współpracy gospodarczej, polegającej na słaniu na zachód pociągów wypełnionych wszelkimi minerałami potrzebnymi Hitlerowi do prowadzenia wojny oraz płodami rolnymi. Współpraca polegała również na likwidacji Polaków, którzy byli największymi przeciwnikami okupantów. Dlatego doszło do rozmów prowadzonych pomiędzy funkcjonariuszami niemieckiego Gestapo i sowieckiego NKWD.

Gdy pod koniec września Polska już dogorywała, Mołotow znów przyjął w Moskwie Ribbentropa. Podpisano kolejny układ, zwany też IV rozbiorem Polski. I tak jak pierwszy dokument z sierpnia i ten zawierał tajny protokół, który w jednym z punktów mówił o tym, że „obie strony nie będą tolerowały na swoich terytoriach jakiejkolwiek agitacji polskiej, która by dotyczyła terytoriów drugiej strony". Daleko posunięta współpraca na tym polu miała polegać na wzajemnej wymianie informacji oraz wspólnym zwalczaniu polskiego podziemia oraz inteligencji. Pokłosiem tamtej umowy były kolejne spotkania służb specjalnych Stalina i Hitlera. Polskie podziemie miało świadomość tego, że okupanci współpracują. Pisał o tym w swoich wspomnieniach Tadeusz „Bór" Komorowski: „W marcu 1940 mój sztab otrzymał wiadomość, że do Krakowa przybyła specjalna komisja NKWD, aby uzgodnić z Gestapo wspólne działanie przeciwko polskiemu ruchowi podziemnemu".

Jeżeli ktoś z góry ośmiesza tzw. teorie spiskowe, to niech zaprzeczy, że pakt zawarty pomiędzy Związkiem Sowieckim a III Rzeszą nie był spiskiem. Otóż nim był. Konsekwencją podpisów złożonych na dokumencie przez Joachima von Ribbentropa i Wiaczesława Mołotowa był początek drogi, która miała zabrać Polsce niepodległość na równe pół wieku.

BEZ PAKTU RIBBENTROP-MOŁOTOW WOJNA ŚWIATOWA NAJPRAWDOPODOBNIEJ NIE WYBUCHŁABY: „ROZŁOŻYŁABY SIĘ NA KILKA OSOBNYCH OPERACJI ALBO ODSUNĘŁA SIĘ W CZASIE O KILKA LAT".

Odzyskaliśmy ją dopiero w roku 1989, w tym czasie, przez pięć dekad, Polska była krajem pozbawionym niepodległości, a jej obywatele wolności. Dwa totalitarne kraje miały jeden cel: zlikwidować niepodległą Polskę, jej mieszkańców sterroryzować i pozbawić wszelkiej nadziei.

eprasa.pl 69d0a872dc

Skrawek wolnej Polski

Mija już 46 lat, odkąd zwykli robotnicy uwierzyli, że razem są w stanie zmienić szarą rzeczywistość PRL-owskiej Polski. Rozpoczynając 14 sierpnia strajk w Stoczni Gdańskiej, na pewno nie spodziewali się tego, jakie konsekwencje przyniosą ich działania. Tym bardziej niezwykłe były ich upór i walka.

Barbara Michałowska

Strajk w Stoczni Gdańskiej, 2–10 maja 1988 r.

Fot. T. Gutry

14 sierpnia 1980 roku około 8 rano Brunon Baranowski dowiedział się od kolegi z wydziału K-3, że Stocznia Gdańska stoi. Na wydziale K-2, gdzie pracowało około półtora tysiąca ludzi, robotnicy zaczęli zbierać się w śniadaniowni. Dochodzili kolejni, pojawiały się flagi i pierwsze wezwania: „Dołączcie do nas". Baranowski, który wcześniej kolportował niezależną prasę, początkowo czekał,

eprasa.pl 69d0a872dc

aż ktoś inny zrobi pierwszy krok. W końcu koledzy zaczęli patrzeć na niego. Wskoczył na stół i zaintonował „Jeszcze Polska nie zginęła". Jak wspominał po latach, „z każdą chwilą śpiew stawał się coraz mocniejszy".

Granica

Z tego właśnie miejsca ruszyli w stronę Bramy nr 2. Nie było jeszcze Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, 21 postulatów ani świadomości, że za dwa i pół tygodnia w tej samej Stoczni podpisane zostanie porozumienie, którego konsekwencje wyjdą daleko poza Gdańsk.

Baranowski zapamiętał moment, kiedy mistrz próbował zatrzymać go za rękaw: „Już jesteś zwolniony, to ty podżegałeś!". Poszedł dalej. Pod bramą tłum był już ogromny. Z trzech stron nadchodzili kolejni ludzie. Baranowski miał małe dziecko, a jego żona była w zaawansowanej ciąży. Po latach przyznał: „Pamiętam, że się bałem, ale i wierzyłem, że póki nie wyjdziemy na ulice, nie stanie nam się żadna krzywda".

To zdanie dobrze oddaje jeden z najważniejszych wyborów tamtych dni. Strajkujący chcieli zostać w zakładzie. Nie chcieli powtórzyć krwawego scenariusza z Grudnia 1970 roku. Stocznia miała stać się ich schronieniem, a zarazem miejscem nacisku na władzę. Bramy, które zwykle służyły do wchodzenia i wychodzenia z pracy, teraz zaczynały wyznaczać granicę między światem strajkujących a światem na zewnątrz.

Pod Bramą nr 2 oddano hołd ofiarom Grudnia.

W pierwszych dniach rozmawiano przede wszystkim o podwyżkach, Annie Walentynowicz i bezpieczeństwie pracy, a potem również wolnych związkach zawodowych.

– To były dwa różne światy: za bramą i tutaj, wewnątrz Stoczni, gdzie pracowało 15 tysięcy ludzi. Stocznia to było takie małe miasteczko – wspominał Andrzej Kołodziej, wówczas działacz Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, później sygnatariusz Porozumień Sierpniowych.

14 SIERPNIA 1980 ROKU OKOŁO 8 RANO BRUNON BARANOWSKI DOWIEDZIAŁ SIĘ OD KOLEGI Z WYDZIAŁU K-3, ŻE STOCZNIA GDAŃSKA STOI.

Wolny świat

Wieści o strajku szybko zaczęły wychodzić poza Stocznię Gdańską. Roman Stegart, pracownik Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, wspominał, że atmosfera robiła się napięta, kiedy wiadomość o wydarzeniach w Gdańsku docierała do kolejnych zakładów. W zachowanej relacji Stegart mówił później o swoim udziale: „Nie żałuję swojego działania, gdyż uważam, że wykonałem najlepszą « robotę »".

Andrzej Kołodziej, jak wspominał później, wszedł przez bramę i zobaczył ludzi, którzy byli w środku. Po latach mówił, że odniósł wtedy wrażenie, iż znalazł się „w skrawku wolnej Polski". Zapamiętał kontrast między „szarością ulicy" a atmosferą panującą w Stoczni: radością, solidarnością i wzajemnym wsparciem.

– Kiedy wszedłem z tego szarego, komunistycznego świata, z miasta, do strajkującej Stoczni, przywitałem się z Anią Walentynowicz i spojrzałem na ludzi, to miałem takie wrażenie, jakbym przeszedł granicę do wolnego świata – mówił niedawno podczas spotkania w Sali BHP.

Początek i koniec w Sali BHP

To właśnie historyczna Sala BHP odegrała w strajku szczególną rolę. Na fotografiach z końca sierpnia widać ją wypełnioną ludźmi: delegatami, dziennikarzami, ekspertami, przedstawicielami władz i robotników. Przy stole odbywają się rozmowy, które śledzi cała Polska. Tymczasem Alina Pienkowska zapamiętała salę z pierwszych dni strajku zupełnie inaczej: „Sala BHP była pusta". Przy stole siedziała tylko garstka ludzi. To tam, jak wspominała Alina Pienkowska, pracowano nad postulatami. Potem drzwi zaczęły się otwierać coraz częściej. Do Gdańska przyjeżdżali ludzie z innych zakładów. Każdy przywoził swoją historię. Jedni byli już zorganizowani, inni dopiero zastanawiali się, czy powinni się przyłączyć.

17 SIERPNIA W STOCZNI ODPRAWIONO PIERWSZĄ MSZĘ. TO RÓWNIEŻ ZMIENIŁO ATMOSFERĘ PROTESTU. NA TERENIE ZAKŁADU POJAWILI SIĘ KSIĘŻA, A WOKÓŁ STOCZNI GROMADZILI SIĘ MIESZKAŃCY GDAŃSKA.

eprasa.pl 69d0a872dc

Sala BHP zaczęła pełnić funkcję miejsca, w którym te historie się spotykały.

Zbigniew Gach, uczestnik wydarzeń, zapamiętał właśnie ten mniej oficjalny wymiar strajku. W jego relacji ważne miejsce zajmują rozmowy ludzi oczekujących na informacje. Zaczynało się od kilku osób, ale za chwilę wokół rozmówcy zbierał się większy tłum. Zwyczajna pogawędka mogła w ciągu kilku minut zmienić się w małe zgromadzenie. Archiwum Filmowe FAF przechowuje osobne nagranie jego wspomnień dotyczących strajków sierpniowych.

Na nagraniach widać, że ludzie stali i czekali. Ktoś miał informację z innego zakładu. Ktoś inny znał człowieka, który właśnie wyszedł z rozmów. Jedni chcieli wiedzieć, czy władze odpowiedzą na postulaty, inni zastanawiali się, co będzie następnego dnia.

Niekiedy trzeba było po prostu zabić czas.

Gach zapamiętał ten wymiar sierpnia właśnie dlatego, że nie wszystko było dramatyczne. Ludzie rozmawiali, żartowali, poznawali się. Wielkie wydarzenie składało się z tysięcy zwyczajnych rozmów.

17 sierpnia w Stoczni odprawiono pierwszą Mszę. To również zmieniło atmosferę protestu. Na terenie zakładu pojawili się księża, a wokół Stoczni gromadzili się mieszkańcy Gdańska. Relacje uczestników pokazują, że w krytycznych dniach religijne uroczystości były dla wielu ludzi ważnym źródłem poczucia bezpieczeństwa i wspólnoty.

POD KONIEC SIERPNIA SKALA PROTESTU BYŁA JUŻ NIEPORÓWNYWALNA Z TYM, CO WYDARZYŁO SIĘ RANO 14 SIERPNIA NA K-2.

Zwycięstwo

Pod koniec sierpnia skala protestu była już nieporównywalna z tym, co wydarzyło się rano 14 sierpnia na K-2. W MKS znajdowali się przedstawiciele setek zakładów. Przystanek Historia, opisując rozwój sierpniowego strajku, przywołuje źródła mówiące o setkach komitetów strajkowych w regionie. Sala BHP była pełna. Przy stole siedzieli przedstawiciele strajkujących i komisji rządowej. Wokół znajdowali się ludzie, którzy przez ponad dwa tygodnie żyli rytmem Stoczni. Za nimi były setki zakładów czekających na rezultat rozmów.

„Powodzenie sierpniowego strajku i powstanie NSZZ « Solidarność » było zasługą przede wszystkim niezwiązanych wcześniej z opozycją robotników oraz inteligencji, ale pamiętających dobrze masakrę w grudniu 1970 r. Kłamstwo o zabitych stoczniowcach i ukrywanie winnych, których nie spotkała żadna kara, spowodowało masowe poparcie strajku przez załogi zakładów Trójmiasta. W sierpniu 1980 r. jedność strajkujących paradoksalnie cementowała prowadzona przez oficjalne środki masowego przekazu dezinformacja, ukrywanie prawdy o wydarzeniach, prawdziwych powodach rozpoczęcia i kontynuowania strajku. To drażniło Polaków, ale i wzmacniało rodzącą się solidarność. W zakładach, które przyłączały się do strajku, wyłaniali się liderzy, w większości niezwiązani wcześniej z opozycją, niewiele o niej słyszący, a nawet nie do końca się z nią utożsamiający. Jeśli nawet strajki organizowane były przez ludzi związanych z opozycją polityczną, to wykorzystali oni istniejącą już wewnętrznie gotowość załogi do działania” – pisał Arkadiusz Kazański.

Po podpisaniu porozumienia zwykli-niezwykli robotnicy wreszcie mogli wyjść do swoich rodzin. Wracali, wiedząc, że ich walka miała głęboki sens. Dzięki nim i wspierającym ich w całej Polsce niezłomnym pracownikom dwa miesiące później zarejestrowano Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”.

PO PODPISANIU POROZUMIENIA ZWYKLI-NIEZWYKLI ROBOTNICY WRESZCIE MOGLI WYJŚĆ DO SWOICH RODZIN. WRACALI, WIEDZĄC, ŻE ICH WALKA MIAŁA GŁĘBOKI SENS.

* Pisząc tekst, korzystałam ze wspomnień opublikowanych w „Tygodniku Solidarność”, „Tygodniku Powszechnym”, na portalu Radia Gdańsk, w Archiwum Filmowym FAF, „Dzienniku Bałtyckim”, opublikowanych przez Region Gdański NSZZ „Solidarność” oraz z tekstu A. Kazańskiego pt. „Sierpień ’80 w Gdańsku” zamieszczonego w serwisie Przystanek Historia.

eprasa.pl 69d0a872dc

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Bohaterowie Platformy

Uczestnik wojny obronnej, żołnierz Armii Krajowej, w tym 27. Wołyńskiej Dywizji AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, żołnierz batalionu „Czata 49” w Zgrupowaniu „Radosław” – gdyby na tym kończył się życiorys gen. Zbigniewa Ścibora-Rylskiego, należałoby powiedzieć – bohater.

Po 1945 r. imał się różnych zawodów, pracował głównie jako inspektor techniczny, czyli nie walczył dalej z bronią w ręku ani w żaden inny sposób nie przeciwstawiał się Sowietom, ale zachował twarz. Tak mogło wydawać się przez dekady.

Tymczasem według dokumentów IPN w 1947 r. Ścibor-Rylski został zarejestrowany przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu jako TW „Zdzisławski” i współpracował z nim do 1964 r. Przynajmniej od 1956 r. aż do 1981 r. był agentem wywiadu PRL. Miał donosić nie tylko na kolegów, ale także na swoją rodzinę, przede wszystkim żonę (Zofia Rylska, słynny wywiadowca AK, miała wiedzieć o kontaktach męża z bezpieką!), jak również rozpracowywać środowiska polonijne w USA i Międzynarodowe Targi Poznańskie. Generał do współpracy z UB się przyznał. Utrzymywał jednak, że był Wallenrodem, wyciągał informacje, ratował kolegów z AK. Tego jednak nie sposób zweryfikować. Tak samo jak tłumaczeń, że bycie „wtyczką w bezpiece” zasugerował mu powstańczy dowódca Jan Mazurkiewicz „Radosław”.

À propos – 8 września 1945 r. płk „Radosław” zaapelował do byłych akowców, aby ujawnili się na podstawie komunistycznej amnestii dla przestępców. Wielu żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego uznało to za błąd, a kpt. Stanisław Sojczyński, dowódca Konspiracyjnego Wojska Polskiego, otwarcie zarzucił Mazurkiewiczowi zdradę.

Wracając do Ścibora-Rylskiego, w notatkach służbowych esbeków czytamy: „Zdyscyplinowany, chętny, sumiennie wykonujący polecenia” (1956 r.). „Był jednostką w pełni sprawdzoną, o zdrowych poglądach politycznych i pozytywnie ustosunkowaną do współpracy z nami” (1969 r.).

Publicystka „Polityki” Janina Paradowska twierdziła, że ujawnienie agenturalnej przeszłości to rewanż PiS na generale. Dlaczego? Bo w 2012 r. Rylski skrytykował tych, którzy w rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego buczeli na Powązkach. Tyle tylko że przeszłość Rylskiego ujawniło nie PiS, tylko historyk IPN Krzysztof A. Tochman; PiS ani wtedy, ani innym razem nie buczał. Buczały pojedyncze osoby – na Donalda Tuska czy Ewę Kopacz, którzy wielokrotnie mijali się z prawdą.

Generał też skłamał – wchodząc w 2004 r. do Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari, zataił swoją współpracę z bezpieką.

Paradowska zmarła, ale jej popierające Koalicję 13 grudnia środowisko do dziś broni Ścibora-Rylskiego jako... bezstronny, apolityczny autorytet. Tymczasem dwukrotnie – w 2010 i 2015 r. (trzy lata przed śmiercią) – popierał w wyborach na prezydenta Bronisława Komorowskiego. Sprzeciwiał się także referendum o odwołanie Hanny Gronkiewicz-Waltz z funkcji prezydenta Warszawy.

A za stary na lustrację – bo takie głosy też się pojawiały – nie powinien być żaden funkcjonariusz czy tajny współpracownik komunistycznych służb. Również w dobie coraz większej liczby coraz wyższych rangą kombatantów. Powstańców i „powstańczyń”. Bohaterów Platformy.

eprasa.pl 69d0a872dc

Religia

Pytania o MEDZIUGORIE

W wakacje temat pielgrzymek powraca jak bumerang. To nie tylko Częstochowa, Fatima, Lourdes, ale i „kontrowersyjne" Medziugorie. Po niedawnej tragedii autokaru z polskimi pielgrzymami wracającymi z Bośni i Hercegowiny oraz lipcowej profanacji dokonanej tam przez Polaka znowu słyszymy pytania: **po co iść na pielgrzymkę** i czy te miejsca są tego warte?

Barbara Andrijanić

Fot. Adobe Stock

Co roku dostaje się pielgrzymom, którzy przemierzają setki kilometrów do Częstochowy. Z nieba leje się żar, a emeryci i rodziny z dziećmi obok nastolatków pokonują kolejne odcinki. O zgrozo, nawet śpiewają. Środowisko krytyków nie ustaje w przekonywaniu, że pomysł wędrowania w upale to średniowiecze.

Z odgrzanego artykuliku Aleksandry Michalskiej opublikowanego przez dodatek do „Wyborczej" dowiadujemy się, że pielgrzymki w zasadzie są OK, ale jednak nie jest tam tak duchowo, jak trzeba. Ludzie, zamiast się modlić, rozmawiają, a po przejściu 30 kilometrów kończą dzień libacją alkoholową. Generalnie pielgrzymie szlaki pustoszeją i po co w ogóle się pchać gdziekolwiek w taki upał?

eprasa.pl 69d0a872dc

Temperatura i emocje na portalach rosną, kiedy pada pytanie o pielgrzymkę do Medziugoria, małej wioski w Bośni i Hercegowinie, w której od ponad 40 lat trwają objawienia Matki Bożej. Tak na pewno uważają sami widzący i ponad 2 mln wiernych, którzy co roku odwiedzają to miejsce.

A przecież to nie jest nawet sanktuarium, więc co ciągnie ludzi do tego popularnego miejsca kultu religijnego? Jego atrakcyjność wzrasta latem, kiedy franciszkanie organizują tu Festiwal Młodych, a największą grupą od lat są nasi rodacy. Niestety w tym roku usłyszeliśmy o Medziugoriu chwilę wcześniej. Powodem stała się profanacja dokonana również przez Polaka Bartłomieja K., który w nocy z 27 na 28 lipca podpalił ołtarz polowy, pomalował czarną farbą twarz figury Matki Bożej na Podbrdo (wzgórzu, na którym objawia się Matka Boża), a na cokole napisał w języku angielskim: „Diabeł w spódnicy". Zniszczona została również mniejsza figurka przy szlaku prowadzącym na Križevac. Przy figurze pojawił się transparent z imionami widzących i dopiskiem: „Oszuści" oraz „Tylko Jezus, Medziugorie to oszustwo". Dwa tygodnie później, 16 sierpnia, doszło do nowej tragedii z udziałem Polaków. W momencie pisania tego tekstu wiemy, że w tragicznym wypadku autokaru wracającego do Polski z Medziugoria zginęło 12 osób. Jestem przekonana, że nawet w środowiskach wierzących pojawią się pytania o sens tej podróży. Działo się tak w przypadku poprzedniej tragedii z udziałem Polaków sprzed 3 lat, kiedy w wyniku wypadku w Chorwacji również zginęło 12 osób.

Sprawa Bartka jest w toku. Wiemy, że 31-letni mężczyzna, u którego w 2017 r. zdiagnozowano depresję, do końca sierpnia będzie przebywać w areszcie w Bośni i Hercegowinie. Za to, co zrobił, grozi mu od 6 miesięcy do 5 lat więzienia. Nie jest tajemnicą, że takie miejsca przyciągają chorujących: duchowo, fizycznie i nierzadko psychicznie z całego świata. Znajomy zakonnik opowiadał mi, że w każdym autokarze zmierzającym do Medziugoria znajdzie się przynajmniej jedna osoba z problemami duchowymi (dręczona lub opętana). Dla Bartka paradoksalnie to wydarzenie może stać się szansą na uporządkowanie bardzo zagmatwanego życia. W przypadku ofiar niedawnego wypadku wyjaśnieniem sprawy zajmie się prokuratura, ale odpowiedź na pytanie: „Dlaczego doszło do tej tragedii?", może przyjść o wiele później.

Fakty i intencje

Po lipcowej profanacji Polaka w mediach społecznościowych częściej mogłam znaleźć komentarze wzywające do modlitwy za chłopaka niż hejt. I to jest jeden z owoców Medziugoria. Zamiast szukać sensacji i biegać za widzącymi, warto na chłodno i bez emocji popatrzeć na fakty, czyli „owoce duszpasterskie" w Medziugoriu: nawrócenia, głęboka odnowa sakramentalna (miliony rozdanych Komunii św. i spowiedzi), setki powołań kapłańskich i zakonnych, ale i ruchy modlitewne czy wcale niełatwe rekolekcje z postem.

Gdzie leży prawda o tym miejscu? Tam, gdzie nasze intencje. Jak pisze jeden z internautów: „Do muzeum można wejść i kontemplować, ale można też wejść i sprawdzać, jakie błędy organizacyjne poczynili kustosze, czy panie dobrze pilnują, czy jest duszno, czy obrazy równo wiszą itp.". Podobnie jest z pielgrzymkami. I właśnie ta zasada jest kluczowa w zrozumieniu tego, co od 1981 roku dzieje się w małej wiosce w Bośni i Hercegowinie.

Kościół mówi

We wrześniu 2024 roku Watykan wydał oficjalną notę zatwierdzoną przez papieża Franciszka, nadając Medziugoriu status „Nihil obstat" (Nic nie stoi na przeszkodzie). Decyzja ta oznacza oficjalną zgodę na kult publiczny i pielgrzymki, choć nie rozstrzyga ostatecznie o nadprzyrodzonym charakterze samych objawień. Ta decyzja jest niezwykle ważna w obliczu tego, co przez ponad 40 lat zostało zbudowane wokół kościoła franciszkanów w małej wiosce w Bośni i Hercegowinie.

Zaczęło się tak jak w przypadku wszystkich innych objawień, w miejscu, gdzie wrony zawracają, ale z pewnością nie tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Do dziś sześć osób twierdzi, że spotyka się z Matką Bożą, od której otrzymuje przesłania dla świata.

> WE WRZEŚNIU 2024 ROKU WATYKAN WYDAŁ OFICJALNĄ NOTĘ ZATWIERDZONĄ PRZEZ PAPIEŻA FRANCISZKA, NADAJĄC MEDZIUGORIU STATUS „NIHIL OBSTAT".

Pierwszy raz dzieci zobaczyły Maryję 25 czerwca 1981 r. Przychodziła codziennie, choć z czasem częstotliwość widzeń zmieniła się. Stanowisko hierarchów wobec wydarzeń w Medziugoriu również ewoluowało. Kościół zareagował szybko. Specjalną komisję do zbadania tego, co naprawdę dzieje się w Medziugoriu, powołał już w 1986 roku ówczesny prefekt

eprasa.pl 69d0a872dc

Kongregacji Nauki Wiary kardynał Joseph Ratzinger. Kolejna, której zadaniem było zbadanie prawdziwości objawień, rozpoczęła pracę w 2010 r. pod przewodnictwem kardynała Camillo Ruiniego. Ostateczne wnioski nie zostały jeszcze skonstruowane, ponieważ według widzących spotkania z Maryją wciąż trwają, a Kościół nie może jednoznacznie określić swojego stanowiska, dopóki się nie zakończą. Całkowicie zrozumiała jest ostrożność Kościoła wobec objawień i działo się tak zawsze. Czas i posłuszeństwo hierarchom były zawsze miernikiem wartości i prawdziwości nadprzyrodzonych wydarzeń w Kościele.

WEDŁUG WIDZĄCYCH SPOTKANIA Z MARYJĄ WCIĄŻ TRWAJĄ, A KOŚCIÓŁ NIE MOŻE JEDNOZNACZNIE OKREŚLIĆ SWOJEGO STANOWISKA, DOPÓKI SIĘ NIE ZAKOŃCZĄ.

Czy objawienia w Medziugoriu są autentyczne?

Dużo wskazuje na to, że pierwsze na pewno. Mówi o tym dokument Kongregacji Nauki Wiary, choć do dziś nieopublikowany – oceniający pierwszych 7 objawień za prawdziwe. Wiemy o tym tylko dlatego, że włoski dziennikarz śledczy David Murgia ujawnił poufne dokumenty oraz wyniki tajnych głosowań watykańskiej komisji kardynała Camillo Ruiniego. Działała ona w latach 2010–2014, a jej zadaniem było przygotowanie bez rozgłosu końcowego raportu i dokumentacji dotyczącej wydarzeń w Medziugoriu. Międzynarodowa komisja badawcza przygotowała raport dzielący wydarzenia w wiosce na dwa etapy. Kardynałowie opowiedzieli się za nadprzyrodzonym charakterem pierwszych siedmiu objawień w okresie od 24 czerwca do 3 lipca 1981 r. (13 głosów za, 1 przeciw, 1 wstrzymujący się), zgłaszając jednocześnie znaki zapytania co do zjawisk późniejszych.

Raport wskazał „wyraźną granicę między początkowymi spotkaniami a masowym i skomercjalizowanym rozwojem zjawiska w kolejnych latach".

Komisja zwróciła też uwagę, że są to objawienia prywatne, a to oznacza, że nawet kiedy zostaną uznane oficjalnie przez Kościół, wierzący nie muszą w nie wierzyć.

Lokalne kontrowersje

Nie uwierzyli również lokalni hierarchowie. Chociaż już 25 lipca 1981 r. podczas homilii z okazji bierzmowania w tamtejszym kościele miejscowy biskup Pavao Žanić stwierdził, że dzieci nie kłamią, już miesiąc później zdanie zmienił. Wydarzenie zaniepokoiło również, a może przede wszystkim, jugosłowiańskich komunistów, dla których każde większe zgromadzenie kościelne stawało się zagrożeniem. Mówiło się nawet o kontrrewolucji w Medziugoriu. Zastraszanie i więzienie dotknęło nie tylko proboszcza miejsca o. Jozo Zovko, ale także dzieci. Franciszkanin sam zresztą nie wiedział, jak to się skończy. Bał się prowokacji, do których w tamtym czasie często dochodziło, za pomocą których tajne służby mogłyby go oskarżyć o próbę obalenia reżimu.

Sytuację zaognił konflikt między franciszkanami i diecezją zaniepokojoną wzrastającą pozycją franciszkanów. To nieugaszony do dziś tzw. hercegowiński przypadek, czyli ciągnący się od końca XIX w. konflikt o podział parafii między diecezję a franciszkanów. Zdaje się jednak, że nowy biskup mostarsko-duvnijski Petar Palić pokazuje zupełnie inną postawę i rozdzielając spór o autentyczność objawień od pracy duszpasterskiej, skupia się na tej drugiej, m.in. co roku biorąc udział w spotkaniu młodych Mladifest w Medziugoriu.

Widzący

Zarzutów wobec widzących są setki. Większość to niepotwierdzone w dokumentach informacje przekazywane przez samych pielgrzymów z ust do ust w stylu: „A widziała pani, że...". Najwytrwalsi krytycy objawień w Medziugoriu chętnie używają argumentu wobec widzących, że żadne z nich nie wstąpiło do zakonu. Zapomnieli, że dwójka widzących z La Salette – Maksymin i Melania – po objawieniach wiodła dość burzliwe życie. Na naszym polskim podwórku również mamy podobny przypadek, kiedy jedna z widzących z Gietrzwałdu Justyna Szafryńska wystąpiła ze zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo (mogła to uczynić, ponieważ śluby są tam odnawiane co roku) i założyła rodzinę. Nie są zbadane jej losy. Wiadomo tylko, że zmarła bezdzietnie.

Jak tłumaczy franciszkanin o. Tomislav Pervan, znawca kwestii Medziugoria, życie tych, którzy są w centrum uwagi, nie jest łatwe i znajduje się pod ciągłą obserwacją. Z szóstki widzących wszyscy założyli rodziny. Czy przez to ich życie jest łatwiejsze niż zakonne? Siostra Łucja z Fatimy pisała, że dzisiejsza walka toczy się o rodzinę i małżeństwo. Wybór widzących możemy odebrać jako świadectwo na dziś dla świata.

Jak Polak z Chorwatem

Nie mogę powiedzieć, że nie jest mi przyjemnie pisać o związkach Polski

eprasa.pl 69d0a872dc

z Chorwacją. Nie tylko ze względów osobistych. W przypadku Medziugoria arcybiskup Henryk Hoser odegrał kluczową rolę w oficjalnym rozeznawaniu sytuacji w tym miejscu. Chodziło o zbadanie sytuacji duszpasterskiej pielgrzymów przybywających masowo do tego miejsca. W lutym 2017 roku papież Franciszek mianował go specjalnym wysłannikiem Stolicy Apostolskiej, a od 2018 roku Polak pełnił tam funkcję wizytatora apostolskiego o charakterze specjalnym. Abp Hoser określał to miejsce jako „duchowe płuca Europy" oraz żywy znak Kościoła, w którym „panuje niezwykła atmosfera modlitwy i masowych nawróceń". Przygotowany i przedłożony przez niego raport papieżowi Franciszkowi rekomendował przede wszystkim uwzględnienie potrzeb duszpasterskich rosnącej liczby pątników oraz zdjęcie restrykcji z oficjalnych pielgrzymek organizowanych przez diecezje. I właśnie ta ocena utorowała drogę do decyzji o oficjalnym zezwoleniu przez Watykan na organizowanie pielgrzymek (ogłoszonym w 2019 roku). Oddzielono jednocześnie duszpasterstwo od weryfikacji prawdziwości samych wizji. To prawda, ich treść to nie jest głęboka teologia, tylko powrót do ustawień fabrycznych każdego chrześcijanina, który nie zamierza po śmierci skończyć w piekle.

O co prosi Matka Boża?

Zawsze o to samo, co zresztą również jest powodem zarzutów krytyków Medziugoria. O modlitwę, post, nawrócenie, codzienne czytanie Biblii, regularną spowiedź i przystępowanie do Komunii św. Wizjonerzy nazywają te zalecenia „pięcioma kamieniami", czyli „duchowymi narzędziami, które mają pomóc wiernym pokonać zło i osiągnąć zbawienie". Do znudzenia, można pomyśleć. Ale takie są mamy. A wszystko dla naszego dobra. Co więc przeszkadza krytykom w tych przesłaniach? Ano właśnie powtarzalność, dlaczego tak długo i to samo? Oni (krytycy) są inteligentni i zrozumieli za pierwszy razem. I niech Bogu za to dziękują. Tyle że Bóg chce odnaleźć jak najwięcej tych zabłąkanych, którym być może trzeba powtórzyć zachętę kilka razy, żeby zechcieli wrócić.

Sceptycy powołują się często na wypowiedź papieża Franciszka, który podczas jednego ze spotkań z dziennikarzami miał powiedzieć, że woli Matkę Bożą jako prawdziwą Matkę, a nie „kierowniczkę urzędu telegraficznego, wysyłającą komunikaty każdego dnia o określonej godzinie. Takie codzienne widzenia – stwierdził papież – nie mają wiele wartości".

Jestem mamą i bardzo często czuję się jak urzędniczka poczty. Jeden komunikat dociera po setnym powtórzeniu. Sto razy tracę przy tym cierpliwość, a Maryja nigdy. Świat wciąż trwa, a widzący twierdzą, że Matka Boża do nich przychodzi. Dla mnie to pocieszające, a nie powód do bicia piany i szukania argumentów, że Medziugorie to oszustwo.

Oddzielić miejsce od widzących

Myśląc o tym miejscu, nigdy nie łączyłam obu rzeczywistości. Nigdy jadąc do Medziugoria, nie miałam ochoty na spotkanie z widzącymi (ani nawet o tym nie pomyślałam). Wiem, są organizowane, ale znowu wszystko zależy od intencji. Ja miałam to szczęście/łaskę, że nie przyciągnęły mnie do Medziugoria tylko zwykła ciekawość, sensacja i nadzieja na spotkanie z Vicką czy Ivanem. Chociaż i takie intencje Bóg potrafi wykorzystać, żeby dotrzeć do naszego zabetonowanego serca. To miejsce fascynowało mnie zawsze jako największy konfesjonał Europy, miejsce setek pielgrzymek tu organizowanych i ostatnia szansa dla udręczonych ludzi.

Nie mogę nie wspomnieć o Cenacolo, ważnej wspólnocie, która działa tu od 1991 roku. Zanim udało się zbudować pierwszy murowany budynek, siostra Elwira mieszkała tu przez rok z grupą narkomanów w namiotach. Dziś żyją z Bożej Opatrzności. Procesem odwykowym nie kierują ani lekarze, ani psycholodzy. Przyjęta zasada działania jest także bardzo prosta: praca, dużo pracy, modlitwa i budowanie zdrowych relacji. Narkomanowi może najbardziej pomóc ten, kto sam przeszedł przez to piekło. Maryja tylko nadzoruje proces leczenia. Działa, bo podobnych wspólnot na świecie jest 20. Jeśli będziecie się kiedyś wspinać na Križevac i spotkacie po drodze chłopaków, którzy na krzesełku znoszą z góry kontuzjowanego pielgrzyma, to na pewno ekipa z Cenacolo.

Takie są fakty. O widzeniach niech wypowie się Kościół. Mnie nie przeszkadzają zbudowane wokół kościoła hotele. Ludzie muszą gdzieś spać. Chcesz płacić mniej, weź namiot, konserwy, ale zanim ocenisz, zobacz sam to miejsce, w którym tyle ludzi znajduje ratunek.

ABP HOSER OKREŚLAŁ MEDZIUGORIE JAKO „DUCHOWE PŁUCA EUROPY" ORAZ ŻYWY ZNAK KOŚCIOŁA, W KTÓRYM „PANUJE NIEZWYKŁA ATMOSFERA MODLITWY I MASOWYCH NAWRÓCEŃ".

eprasa.pl 69d0a872dc

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Referendum w sprawie Zielonego Ładu. Solidarność kontynuuje zbiórkę podpisów

Fot. M. Żegliński

Działacze NSZZ „Solidarność” wznowili zbiórkę podpisów pod obywatelskim wnioskiem o przeprowadzenie referendum w sprawie Zielonego Ładu. W centrum Warszawy podpisy zbierali członkowie Krajowej Sekcji Pożarnictwa NSZZ „Solidarność” wraz z jej przewodniczącym Bartłomiejem Mickiewiczem. W zaledwie dwie godziny strażakom udało się zgromadzić kilkaset podpisów.

– Wbrew pozorom Warszawiacy bardzo chętnie składają podpisy. Jest duże zainteresowanie. Działania Solidarności powodują, że świadomość społeczna się zmienia – skomentował Bartłomiej Mickiewicz, wiceprzewodniczący Komisji Krajowej „S”.

Podpisy zbierane są także pod gdańskim budynkiem Komisji Krajowej i Regionu Gdańskiego. Od poniedziałku do piątku związkowcy pełnią dyżury przy stoliku, do którego mieszkańcy mogą podejść i złożyć swój podpis pod inicjatywą.

Solidarność powróciła do akcji obywatelskiej po tym, jak Senat dwukrotnie odrzucił prezydencki wniosek o rozpisanie referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej. Odwieszenie zbiórki podpisów ogłosił 7 sierpnia przewodniczący Piotr Duda. Szef „S” powiedział wówczas, że Związek zebrał już wcześniej około 450 tys. podpisów.

eprasa.pl 69d0a872dc

Fot. M. Żegliński

„Coraz więcej sieci handlowych i coraz więcej sklepów, dyskontów i hipermarketów otwiera się na tzw. czytelnie. W ustawie nie ma wyjątku, że można zgodnie z regulaminem prowadzić w sklepie czytelnię".

Alfred Bujara, szef handlowej „S", Tysol.pl, 19 sierpnia br.

ROCZNICA POBICIA INTERNOWANYCH W KWIDZYNIE

Elbląska Solidarność na czele z przewodniczącym Zbigniewem Kobanem oddała hołd działaczom opozycji antykomunistycznej, którzy 14 sierpnia 1982 roku zostali pobici w Ośrodku Odosobnienia w Kwidzynie.

Pod tamtejszym Zakładem Karnym związkowcy z NSZZ „Solidarność" wraz z burmistrzem Kwidzyna Sebastianem Kasztelanem i jego zastępcą Justyną Górską złożyli kwiaty pod pamiątkową tablicą. W uroczystości uczestniczyli też sami internowani, którzy doświadczyli przemocy ze strony byłych funkcjonariuszy SW.

44 lata temu do kwidzyńskiego Ośrodka Odosobnienia nie wpuszczono rodzin internowanych, którzy oczekiwali na spotkanie z najbliższymi. Wśród osadzonych wybuchł wtedy protest, który został brutalnie spacyfikowany przez milicję, strażników więziennych i ZOMO. Po stłumieniu protestu internowanych miano umieszczać w celach, a potem wyprowadzać na korytarz i kazać przejść przez szpaler funkcjonariuszy, którzy zadawali im uderzenia – tzw. ścieżki zdrowia.

Śledztwo Instytutu Pamięci Narodowej wykazało, że pobito wtedy ponad 100 internowanych. Ich oprawcy uniknęli jednak sprawiedliwości. IPN wrócił do tej sprawy w ramach projektu „Archiwum Zbrodni".

W 2023 roku prokuratorzy postawili zarzuty byłym funkcjonariuszom SW z kwidzyńskiego ośrodka internowania. Ich proces ruszył 16 czerwca 2025 roku w Sądzie Rejonowym w Kwidzynie. Dotyczy on łącznie 26 osób.

BIEG SOLIDARNOŚCI

Już niedługo na ulicach Gorzowa Wielkopolskiego pojawią się uczestnicy 27. edycji Biegu Solidarności. Zawodnicy wystartują w sobotę, 5 września, o godzinie 10.00 z Placu Katedralnego i pokonają dystans około 4600 metrów. Pośród uczestników imprezy rozlosowane zostaną nagrody, w tym telewizor. W zeszłorocznej edycji wzięło udział ponad 200 biegaczy.

NA ROWERZE DO MAMY

Wyruszyła 20. Rowerowa Pielgrzymka Energetyków ze Szczecina do Częstochowy. Pątnicy wystartowali 14 sierpnia ze stolicy województwa zachodniopomorskiego, by po dziewięciu dniach i przejechaniu około 600 kilometrów dotrzeć na Jasną Górę.

Po przybyciu do Częstochowy rowerzyści połączą się z 41. Ogólnopolską Pielgrzymką Energetyków, Elektryków i Elektroników, którą zaplanowano na 22–23 sierpnia. Jej centralnym punktem będzie Msza Święta pod przewodnictwem arcybiskupa Zbigniewa Zielińskiego, metropolity poznańskiego, w koncelebrze z terenowymi duszpasterzami energetyków na czele z krajowym duszpasterzem ks. dr. kan. Sławomirem Zygą.

ROCZNICA ŚMIERCI KS. ROMANA KOTLARZA

W Pelagowie koło Radomia, w którym ks. Roman Kotlarz przez 15 lat służył jako proboszcz parafii Matki Bożej Częstochowskiej, odbyły się obchody 50. rocznicy jego śmierci. Podczas wydarzeń Radomskiego Czerwca 1976 roku duchowny błogosławił protestujący tłum, stojąc na schodach Kościoła Świętej Trójcy.

„W kolejnych tygodniach w pelagowskiej parafii mówił głośno o brutalnych represjach, które spotkały manifestujących. Solidaryzował się z robotnikami i śmiało głosił prawdę o ich krzywdzie. Rychło spotkały go za to szykany i prześladowania ze strony aparatu bezpieczeństwa, a ostatecznie śmierć w wyniku wielokrotnego pobicia" – napisał prezydent Karol Nawrocki do uczestników obchodów. List odczytał kapelan głowy państwa ks. dr hab. Jarosław Wąsowicz.

W grudniu 2018 roku rozpoczął się etap diecezjalny procesu beatyfikacyjnego i stwierdzenia męczeństwa ks. Kotlarza.

M.K.

Kalendarium Solidarności

30.08.1980 – w świetlicy Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego podpisane zostaje Porozumienie Szczecińskie;

31.08.1980 – w Sali BHP Stoczni Gdańskiej Mieczysław Jagielski i Lech Wałęsa podpisują Porozumienie Gdańskie. Data uznawana jest za dzień narodzin Solidarności;

25.08.2014 – watykańska Kongregacja Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów wydaje dekret uznający bł. ks. Jerzego Popiełuszkę patronem członków NSZZ „Solidarność".

eprasa.pl 69d0a872dc

Święto historycznej Sali BHP.
Tu rodziła się Solidarność

Sala BHP Stoczni Gdańskiej otworzyła się 14 sierpnia dla turystów i mieszkańców Trójmiasta, oferując darmowe zwiedzanie tamtejszego Muzeum, wycieczkę z przewodnikiem oraz spacer z **Andrzejem Kołodziejem**, opozycjonistą antykomunistycznym i sygnatariuszem Porozumień Sierpniowych.

Marcin Krzeszowiec

Andrzej Kołodziej

Fot. autor (3)

Stocznia Gdańska to kolebka Solidarności. To tutaj 14 sierpnia 1980 roku wybuchł strajk, który doprowadził do podpisania Porozumień Sierpniowych i w następstwie powstania NSZZ „Solidarność". To tutaj znajduje się historyczna Sala BHP, to tutaj ukonstytuował się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, to tutaj sformułowano słynne 21 postulatów, które zostały wpisane na listę UNESCO

eprasa.pl 69d0a872dc

Jarosław Żurawiński podczas oprowadzania wycieczki po Sali BHP

„Pamięć Świata", obok rękopisów Fryderyka Chopina, Aktu Konfederacji Generalnej Warszawskiej czy autografu dzieła Mikołaja Kopernika „O obrotach sfer niebieskich".

W 46. rocznicę strajku gdańskich stoczniowców, 14 sierpnia 2026 roku, Fundacja Promocji Solidarności zorganizowała z tej okazji Święto Sali BHP Stoczni Gdańskiej.

Turyści i mieszkańcy Trójmiasta mogli tego dnia za darmo zwiedzić Muzeum Sali BHP, w którym na wystawie stałej pt. „Stocznia Solidarność" zgromadzone eksponaty opowiadają o historii Stoczni Gdańskiej i początkach przemysłu stoczniowego w tym miejscu, począwszy od 1844 roku. Na zbiory składają się dioramy ożywione efektami świetlnymi. Jedna z nich – Diorama Sierpniowa – przedstawia moment, kiedy na terenie Stoczni Gdańskiej ogłoszono podpisanie Porozumienia Gdańskiego. Ekspozycja zawiera też 20 modeli statków wyprodukowanych w tej Stoczni, w tym model „Daru Młodzieży". Warto nadmienić, że na początku lat 60. Stocznia Gdańska była piątą stocznią na świecie pod względem wielkości produkcji okrętowej w rankingu stoczni cywilnych.

> ***Historię Sierpnia '80 nie tylko można przekazywać młodemu pokoleniu, lecz przede wszystkim należy to robić, to jest nasz obowiązek.***
>
> **JAROSŁAW ŻURAWIŃSKI**

Z punktu widzenia Solidarności najważniejszy był jednak rok 1980. To wtedy na pięć miesięcy przed emeryturą zwolniono z pracy Annę Walentynowicz, a po upływie tygodnia zakład stanął – zwolnienie suwnicowej było bezpośrednią przyczyną tego historycznego strajku. Z okazji Święta Sali BHP o wydarzeniach sprzed ponad czterech dekad opowiadał zwiedzającym pracownik Fundacji Promocji Solidarności Jarosław Żurawiński. – Historię Sierpnia '80 nie tylko można przekazywać młodemu pokoleniu, lecz przede wszystkim należy to robić, to jest nasz obowiązek. Jeżeli chcemy, aby ta historia nie została zapomniana, to musimy

eprasa.pl 69d0a872dc

opowiadać o niej zarówno od święta, jak i w zwykłe dni – zaznaczył przewodnik.

W tamtym czasie gdańska stocznia przypominała w pewnym sensie małe miasteczko – znajdowały się tam przedszkola i żłobki dla dzieci, szpital i kino Panorama. Na terenie zakładu liczącego około 165 hektarów pracowało kilkanaście tysięcy ludzi. Jak mówił w czasie wycieczki Żurawiński – to nieprawda, że w Stoczni tylko się piło i grało w karty – tam powstawały wysokiej jakości jednostki morskie. – Stocznia to przede wszystkim ludzie, a tutaj byli ludzie z najwyższej półki, jeśli chodzi o fachowość. Tutaj statki były budowane z założeniem, że będą pływały 20–25 lat, a niektóre pływają już dwa razy dłużej – podkreślił Jarosław Żurawiński.

„To były dwa różne światy”

Ostatnią atrakcją przygotowaną dla zwiedzających był „Spacer z bohaterem”. Swoimi wspomnieniami z sierpnia 1980 roku podzielił się z zainteresowanymi Andrzej Kołodziej, który przez 2,5 roku pracował w Stoczni Gdańskiej na wydziale W-3 na wyposażeniu wnętrz okrętowych. Działacz Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża był też w zakładzie 14 sierpnia, gdy rozpoczął się strajk.

– Pamiętam tamten czas doskonale. Kiedy wszedłem z tego szarego, komunistycznego świata, z miasta, do strajkującej Stoczni, przywitałem się z Anią Walentynowicz i spojrzałem na ludzi, to miałem takie wrażenie, jakbym przeszedł granicę do wolnego świata. Sam wcześniej pracowałem w Stoczni Gdańskiej i to były takie ponure dni robocze. Ludzie byli wtedy zmęczeni, smutni. Natomiast w to pierwsze popołudnie strajkowe w Stoczni ludzie byli uśmiechnięci, radośni, wszyscy się wspierali, byli pełni entuzjazmu i w nadziei oczekiwali na zwycięstwo – tak jakby już ten strajk wygrali – wspominał Andrzej Kołodziej. – To były dwa różne światy: za bramą i tutaj, wewnątrz Stoczni – dodawał.

> ***W pierwsze popołudnie strajkowe w Stoczni ludzie byli uśmiechnięci, radośni, wszyscy się wspierali, byli pełni entuzjazmu i w nadziei oczekiwali na zwycięstwo – tak jakby już ten strajk wygrali.***
>
> **ANDRZEJ KOŁODZIEJ**

Krzyż z kwiatów

W rocznicę stoczniowego strajku odbyło się jeszcze jedno wydarzenie. W godzinach porannych pod Pomnikiem Poległych Stoczniowców 1970 ułożono krzyż z czerwonych begonii. Był to wyraz pamięci i uznania dla odwagi stoczniowców, którzy 14 sierpnia 1980 roku rozpoczęli strajk w Stoczni Gdańskiej, a także kontynuacja tradycji, którą zapoczątkowała Aleksandra Olszewska. Kobieta od 1980 roku regularnie składała kwiaty w tym miejscu i przez kilka dekad prowadziła nieopodal – blisko Bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej – kiosk z pamiątkami. Potem zarówno kiosk, jak i kwiatową tradycję przejął jej syn śp. Tadeusz Olszewski.

Krzyż z kwiatów ułożyli pod pomnikiem pracownicy Fundacji Promocji Solidarności: prezes Michał Ossowski, członek Zarządu Wojciech Kwidziński oraz dyrektor operacyjny Adam Chmielecki.

W akcji uczestniczyli również wspomniany już przewodnik Jarosław Żurawiński oraz Jarosław Łukaszewski z firmy „Kwiaty u Wojtka”, który dostarczył begonie.

Na miejscu obecna była też prezes Fundacji Citizen Project Beata Staszyńska-Hansen wraz z mężem, która współpracuje z Salą BHP Stoczni Gdańskiej i która znała śp. Tadeusza Olszewskiego.

– Przez wiele lat krzyż z kwiatów układał pan Tadeusz Olszewski wraz ze swoją mamą. Dzisiaj Fundacja Promocji Solidarności stara się dbać o podtrzymanie tej tradycji, żeby przez okres sierpnia ten krzyż z kwiatów z kotwicą symbolizujący wolność i nadzieję był ustawiony pod pomnikiem w taki sposób, aby mieszkańcy i turyści mogli przypomnieć sobie, że wchodzimy w dni sierpniowe, które skończą się uroczystymi obchodami 31 sierpnia – wyjaśnił Wojciech Kwidziński.

> ***Przez wiele lat krzyż z kwiatów układał pan śp. Tadeusz Olszewski wraz ze swoją mamą. Dzisiaj Fundacja Promocji Solidarności stara się dbać o podtrzymanie tej tradycji.***
>
> **WOJCIECH KWIDZIŃSKI**

eprasa.pl 69d0a872dc

Czy komornik może zająć pieniądze NA KONCIE DZIECKA?

Rodzic ma długi i prowadzona jest przeciwko niemu egzekucja komornicza. Pewnego dnia dowiaduje się, że komornik zajął rachunek bankowy jego dziecka. **Na koncie znajdują się pieniądze otrzymane od dziadków**, oszczędności odkładane przez rodziców albo pieniądze zarobione przez dziecko. Czy komornik może sięgnąć po te środki tylko dlatego, że rodzic jest dłużnikiem?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W praktyce wiele osób obawia się, że jeżeli rodzic ma problemy finansowe, komornik może zająć wszystkie pieniądze znajdujące się na rachunkach prowadzonych dla członków jego rodziny. Tymczasem podstawowa zasada jest prosta: egzekucja powinna być prowadzona z majątku dłużnika. Jeżeli rachunek rzeczywiście należy do dziecka, a zgromadzone na nim pieniądze są jego majątkiem, sam fakt, że rodzic jest jego przedstawicielem ustawowym, nie oznacza, że komornik może wykorzystać te środki do spłaty długu rodzica. Znaczenie ma jednak to, kto jest formalnie posiadaczem rachunku. Nie każde konto określane jako „konto dziecka" jest bowiem samodzielnym rachunkiem należącym do małoletniego. Czasami jest to rachunek rodzica z dodatkową kartą dla dziecka albo subkonto powiązane z rachunkiem rodzica. W takiej sytuacji ocena może być zupełnie inna, ponieważ dla komornika istotne znaczenie ma to, do kogo należy rachunek i wynikająca z niego wierzytelność wobec banku. Dobrym przykładem jest sytuacja ojca, który ma zadłużenie i posiada rachunek bankowy. Jego dwunastoletni syn ma natomiast własne konto, na które dziadkowie od kilku lat wpłacają pieniądze na przyszłość. Jeżeli rachunek rzeczywiście należy do syna, a zgromadzone środki stanowią jego majątek, dług ojca nie staje się przez to długiem dziecka. Co więcej, dziecko może posiadać własny majątek już od chwili urodzenia. Co jednak zrobić, jeżeli mimo wszystko doszło do zajęcia pieniędzy należących do dziecka? W takiej sytuacji nie należy zakładać, że komornik „zabrał pieniądze i nic nie można zrobić". Osoba, której prawa zostały naruszone przez skierowanie egzekucji do przedmiotu lub prawa należącego do niej, może korzystać ze środków prawnych służących ochronie jej majątku. W przypadku małoletniego odpowiednie działania podejmuje jego przedstawiciel ustawowy. Warto również pamiętać, że samo wpłacanie przez rodzica pieniędzy na konto dziecka nie zawsze pozwala automatycznie uznać, że wszystkie znajdujące się tam środki należą do dziecka. Znaczenie może mieć źródło pieniędzy, cel ich przekazania oraz rodzaj rachunku. Dlatego w razie sporu istotne może być wykazanie, skąd pochodziły środki i do kogo rzeczywiście należały.

Tym samym komornik nie może prowadzić egzekucji z majątku dziecka tylko dlatego, że jego rodzic jest dłużnikiem. Kluczowe znaczenie ma jednak ustalenie, kto jest właścicielem środków i kto jest posiadaczem rachunku. Dlatego rodzic, który ma problemy z zadłużeniem, powinien szczególnie uważać na rozróżnienie między własnym kontem a rzeczywiście odrębnym rachunkiem należącym do dziecka.

PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 69d0a872dc

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

Nasi autorzy

Barbara Andrijanić (Pytania..., s. 64),
zajmuje się sztuką, kulturą i duchowością. Pisze ikony.

Sławomir Jastrzębowski (Uwaga!..., s. 38),
był w przeszłości redaktorem naczelnym „Super Expressu" oraz właścicielem portalu Salon24.pl. Od 2022 r. prowadzi (w duecie z Rafałem Wosiem) autorski program „Lewy z Bicepsem" – obecnie emitowany na antenie TV Republika. W 2018 r. opublikował swoją debiutancką powieść „Toksyna". Jego dewiza brzmi: „Gdy nie wiesz, co robić, zrób biceps (dla Polski)".

Barbara Michałowska, (Skrawek..., s. 60),
dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Marek Nowak (Szkoła..., s. 12),
publicysta i scenarzysta. Jego najnowszy film to „Intersection".

Jakub Pacan (Witaj..., s. 8),
dziennikarz „TySola" od 2018 roku. Pisze o polityce, religii oraz... lasach.

Mariusz Staniszewski (Tusk..., s. 30),
autor był w przeszłości członkiem zarządu Polskiego Radia, zastępcą redaktora naczelnego „Wprost", publicystą tygodnika „Do Rzeczy" i szefem działu krajowego w „Rzeczpospolitej". Jego najnowsza książka to „Wyższe Sfery" (Zysk i Sk-a, 2025).

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 69d0a872dc

SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

My mamy wspólne wartości, a Wy?

asa.pl 69d0a872dc

POZNAJ HISTORIĘ SOLIDARNOŚCI

Odwiedź miejsce jej narodzin

Wycieczki po **SALI BHP** z przewodnikiem

BYŁYM STOCZNIOWCEM, UCZESTNIKIEM STRAJKU W 1980 R.

REZERWACJA WYCIECZEK

SALA BHP **salabhp.pl**

eprasa.pl 69d0a872dc